

63846/2



304735 I.

Noc w przeddzień 29 listopada należała do najcięższych w życiu Piotra Wysockiego. Powróciwszy bardzo późno do domu z narady ostatecznej z Zaliwskim, Urbańskim i innymi spiskowcami, nie kładł się wcale spać, tylko zasiadłszy przy stole, pogrążył się raz jeszcze w obliczeniach...

Wertując wykazy oddziałów, należących do spisku, zestawiając je liczbowo z oddziałami rosyjskimi, i temi z polskich, które przypuszczalnie mogły opowiedzieć się przy Konstantym, starał się dojść do ostatecznego wniosku o powodzeniu, zwycięstwie lub porażce spisku.

Cyfry nieubłaganie mówiły mu jedno, że siły obydwóch stron były prawie że równe, że wahanie między nimi były nieznaczne, lecz za to szalę spiskowców mógł przeważać zapal i poryw do walki o wolność, jak również i nieprzygotowanie i przerażenie zaskoczonego nagłym atakiem wroga... Siły spiskowców zasilić miał jeszcze ponadto lud, ten lud warszawski, spokojny zazwyczaj, lecz straszliwy w walce i napaści którego panicznie lękali się moskale, pamiętając dobrze dzień 17 kwietnia 1794 r.

Wpatrzony w krwawo płonący na kominku ogień, snuł dalej swe myśli ciężkie, przygnębiające, wolne od beztroskiej pewności zwycięstwa..

Zdawał sobie w całej pełni sprawę, że bierze na barki swe ciężar nad siły może, że odpowiedzialnością

za przegraną obarczą go nietylko współcześni, ale i przyszłe pokolenia, lecz czuł jednocześnie, że tego, co się stać miało, nic już cofnąć nie zdoła, że rozbudzonego przez niego ruchu nikt i nic nie powstrzyma.

Zdawał sobie również jasno sprawę, że w chwili i sytuacji obecnej przed Polską stały dwie drogi, — jedna, którą on wybrał, mogąca w wyniku dać zwycięstwo, lub śmierć na polu chwały, zagładę, lecz z zachowaniem honoru narodu bez skazy, druga, którą kroczyła większość sterników narodu, a która prowadziła do jeszcze większego pohańbienia i upodlenia, do ugody z wrogiem, do ostatecznego zatracenia wolności, do życia sytych niewolników.

I gdy rozważał co czynić należy, gdy zastanawiał się nad zamierzeniami swemi, coraz bardziej utrwalał się w przekonaniu, że jednak inaczej postąpić nie było można...

Miał jakieś dziwne, wewnętrzne przekonanie, że ten rozpaczny poryw garści szaleńców pociągnie za sobą masy, bierne i obojętne dotychczas, zatarga sumieniami tych, którzy tylko w dobrobycie własnym dobro Ojczyzny widzieli, obudzi ich z uspienia i zmusi do czynu, który w ostatecznym wyniku wolność umęczonej Ojczyźnie przyniesie.

— Garść nas jest tylko, — szeptał, wpatrując się w leżące przed nim wykazy: lecz na zew nasz podążą tłumy, które, zamienione w lawinę, zmiotą z powierzchni ziemi polskiej tyranów moskiewskich i wolność, tak upragnioną wolność dla niej zdobędą...

Czuł budzącą się pewność, że szaleńcy czynią dnia dzisiejszego powodzeniem uwieńczony zostanie, lecz jednocześnie nowa troska, silniejsza od innych, zamroczyła mu czoło, ryjąc na niem bruzdy głębokie...

Wódz!... Skąd wezmą wodza dla walczących zastępów, wodza, opromienionego sławą bojową, któryby powiódł je do śmiertelnego, zwycięskiego boju...

Chłopicki?... Liczono na niego, lecz czyż nie oświadczył wyraźnie, że w żadnych awanturach buntowniczych udziału brać nie będzie?... Znając jego upór, wiedział dobrze, że przekonać go trudno będzie...

A inni?... Potocki, Trębicki, Nowicki i inni... czyż będą chcieli? czyż nie byli do tego stopnia przejęci subordynacją wojskową, ażeby zgodzili się stanąć na czele buntowników?...

Machnicki?... Zbyt niską miał rangę i zbyt mało był znany, ażeby mógł porwać za sobą masy wojska i ludu, by samem nazwiskiem swoim natchnąć je do czynu, podniecić do walki!...

I przyszło mu na myśl wielokrotnie na posiedzeniach wyrażane zdanie, że byle tylko czyn się powiódł, byle tylko zwycięstwo okazało się po stronie spiskowców, że i Chłopicki wtedy zmieni zdanie i chętnie stanie na czele zorganizowanej, potężnej siły...

Uspokoilo go to i natchnęło otuchą...

Blady, szary świt listopadowy zaglądał już przez okna, gdy wstał od stołu, a obmywszy zimną wodą rozpaloną głowę, ubrał się spiesznie i wyszedł z domu, nakazując Szymkowi, żeby wszystkich, którzy będą przychodzić do niego, odsyłał na godzinę 10 rano.

Pustemi, zasłanemi śniegiem ulicami podążył w stronę Krakowskiego-Przedmieścia, minął Plac Zamkowy, zagłębił się w wąską szyję ul. św. Jańskiej...

Mrok panował w prastarej katedrze św. Jana, gdy wszedł do jej wnętrza i boczną nawą przedostał się do kaplicy z cudownym ukrzyżowanym Chrystusem...

Tam przed ołtarzem, oświetlonym migotliwymi płomykami czterech świec, sędziwy kapłan odprawił cichą mszę... Słuchało jej nieliczne grono nabożnych mieszkańców Starego Miasta, — przekupki, pa-

u weteranów i mieszczan, śląc ciche a żarliwe modły przed tron Przedwiecznego...

Wysocki ukląkł w kąciку przy stopniach ołtarza i pogrążył się w gorącej, z głębi serca płynącej modlitwie... A gdy kapłan skończył św. Ofiarę, zanim odszedł do zakrystji, zbliżył się do niego i nachylając się, rzekł szeptem:

— Ojczec, pobłogosław mnie na czyn wielki, który wyzwolenie Ojczyźnie ma przynieść!...

Zatrzymał się kapłan, a widząc przed sobą oficera wojsk polskich, nie pytał o nic, lecz wróciwszy przed ołtarz i wyciągnąwszy nad klęczącym, z pochyloną nisko głową, drżące dłonie, odmówił cicho słowa błogosławieństwa, żegnając znakiem krzyża św.

Ucałował Wysocki rękę kapłana i pokrzepiony na duchu, umocniony w swem postanowieniu, wyszedł z świątyni.

Miał jeszcze przed sobą nawał pracy, ostatnich raportów i poleceń co do przygotowań do wybuchu, ostatnich narad z przyjaciółmi i wydania zarządzeń co do ewentualnych zmian, jakie pod ich wpływem nastąpić mogły...

A przede wszystkim zwierzony mu sygnał, i w tym wypadku spotkał go zawód, który fatalnie mógł się odbić na całej akcji...

W młynach prochowych na Pradze nie zastał por. Stolzmana, od którego miał dostać materiały wybuchowe dla podpalenia browaru Weissa.

Ta pierwsza przeszkoda stropiła go trochę, lecz wnet zaradził temu, wydając podoficerowi szkoły podchorążych Wiktorowi Tylskiemu, przeznaczonemu do tej ważnej czynności, polecenie, ażeby podpalił go słomą...

Odbył potem w południe ostatnią, decydującą na-

radę z Zaliwskim i Szleglem, poczem podążył do domu, by wypocząć choć trochę, zanim sygnał pożaru powoła go do czynu...

II.

Zmierzch już zapadał, otulając mrokiem okryte śniegiem drzewa parku Łazienkowskiego...

Po porannej odwilży i śnieżycy, wypogodziło się i nawet schwytał lekki mróz, okrywający szklistą lodową powłoką rozsiane gęsto po drogach kałuże... A nad wszystkim rozciągało się czarne niebo, roziskrzone mirjadami srebrzystych gwiazd...

Pustka i cisza panowały wokół, gdy naraz na Agrykoli, od strony Alei Ujazdowskiej, ukazała się postać jakiegoś cywila, dość dziwnie wyglądającego w tych stronach, zda się w zupełności opanowanych przez wojskowych.

Wszedł on na most Sobieskiego i wsparłszy się o poręcz, w milczeniu, jakby w kontemplacji, zdawał się przyglądać ciemnej tafli stawu, oraz bielejącemu w oddali, w słabej poświacie gwiazd i odbłasku śniegu, pałacykowi. Po chwili wyrosła tuż przy nim druga postać cywilna... Spojrzeli na siebie, padły z ust ich krótkie słowa:

— Nabelak!...

— Goszczyński!... — i znów zapadli w milczenie, nasłuchując czegoś, oczekując na coś...

Po chwili znów zamajaczyła ciemna postać, za nią druga, trzecia, czwarta...

Padły krótkie słowa, jakby hasła, i przybyli schodzili z mostu, w głąb parku, kryjąc się za drzewami, by nie zwracać na siebie niczyjej uwagi...

Na moście trwał tylko Nabelak, przyjmujący hasła od przybywających i kierujący ich do wcześniej przybyłych...

Liczył przybywających, a w miarę tego coraz większy cień okrywał twarz jego... Wreszcie przestali nadchodzić spiskowcy cywilni, a westchnienie zawodu wyrwało się z piersi Nabelaka...

Miało ich być, według zapowiedzi, pięćdziesięciu, później jednak niektórzy tchórzliwsi wycofali się, tak że pozostało tylko trzydziestu dwóch, przybyło jednak na umówione miejsce zaledwie kilkunastu...

Zbyt mało, jak na wielki czyn, jakiego dokonać mieli, lecz Nabelak krzepił się nadzieją, że i z tą garścią spełnić zdoła wiele, że Wysocki go wesprze, że zgładzić zdołają tyrana, i jak Termopilanie padną w walce, ścieląc pomost dla innych, którzy po ich ciałach podążą naprzód, do zwycięstwa...

Czas oczekiwania dłużył się Nabelakowi... Nie było widać ani sygnału zapowiedzianego pożaru, ani Wysockiego, który miał ich w broń zaopatrzyć...

Krażył też niecierpliwie po moście, wpijając wzrok w mroki nocy, lecz nikogo i nic widać nie było... To schodził z mostu i szeptem naradzał się z ukrytymi za drzewami towarzyszami...

Naraz na wschodzie, na czarnem tle nieba zajaśniała krwawa łuna, wydzierając westchnienie ulgi z piersi Nabelaka i towarzyszy jego... Zaczynało się... To Tylskiemu, po wielu próżnych wysiłkach, udało się nareszcie podpalić browar słomą...

Łuna rozszerzała się, rzucając różany odblask na biel śniegu, okrywającego Łazienki, a jednocześnie z tem dał się słyszeć tętent i gwar głosów... To stojące w koszarach wojsk rosyjskich pikiety ogniowe wyruszyły do pożaru...

Spiskowcy, obawiając się, że zostaną wykryci, rozproszyli się po parku, kryjąc się za drzewami, przytulając się do nich...

Była to ciężka i pełna wzruszeń chwila... Gwar

ucichł wreszcie, łuna zmniejszać się zaczęła i znów rozpoczęło się długie, dręczące oczekiwanie...

W ciszy, panującej wokoło, przeróżne dziwne myśli snuły się w głowach spiskowców... Zdawało się im już, że myśl powstania zaniechaną została, lecz mimo to zdecydowani byli na wszystko...

„Kto się tak w życiu swoim, — mówił następnie jeden ze spiskowców, Rettel: — znajdował w tak uroczystej chwili, ten mię zrozumie, kiedy powiem, że ludzie wtedy czują się nawskroś i najdrobniejsze czyjeś zachwianie byłoby się natychmiast w nas wszystkich odbiło... Byliśmy ręką Boga przesiani jak w przetaku, i kto był przeznaczony, ten pozostał na miejscu“...

Czas włókł się niemożliwie wolno. Nabelak, zniecierpliwiony, zapuszczał się dwukrotnie aż do szkoły podchorążych, myśląc, że spotka tam Wysockiego, napróżno jednak...

Wreszcie dało się słyszeć od strony Agrykoli stąpanie paru osób, oraz turkot kół, jakby wozu...

Pospieszył tam Nabelak i westchnienie radosnej ulgi wydarło się z piersi jego... Był to Wysocki z Szleglem, Dobrowolskim i Koryckim, oraz trzema dymisjonowanymi podchorążymi, którzy Związek z nim założyli: Cichowskim, Ponińskim i Paszkiewiczem... Za nimi wolno toczyła się bryczka, na której Szlegel przywiózł naboje...

Zamienili krótkie, urwane zdania, a tymczasem z poza drzew, jakby wychodząc z ich wnętrza, wyłaniały się postacie spiskowców i przyłączały się do nich...

Przeliczył ich Nabelak... Było ich czternastu zaledwie, a więc paru jeszcze, zdjętych lękiem przed tem, co się stać miało, uciekło...

Lecz to nic... I z tą małą garścią wypełnią swój obowiązek, choćby wszyscy lec mieli...

W milczeniu, tłumiąc o ile możności nawet odgłos

kroków, posuwali się naprzód do szkoły podchorążych, a na czele ich dążyli Dobrowolski i Szlegel...

Po chwili rozległ się krótki okrzyk:

— Kto..., — a potem szamotanie jakieś, wreszcie cisza, przejmująca, aż dzwoniąca w uszach cisza...

To Szlegel i Dobrowolski rozbili dwóch sztydychów zewnętrznych, kirasjerów podolskiego pułku gwardji... Leżeli oni skrępowani, w przerażeniu patrzając na wszystko, co się działo przed szkołą...

Na zapukanie w szybę, rozwarło się okno na parterze, i wnet na cichy rozkaz Paternickiego:

— Dawać broń! — warta wewnętrzna z podchorążych wydawać poczęła cywilnym spiskowcom ze zbrojowni karabiny junkrów rosyjskich..

Chwyтали je chciwie, tuląc do piersi jak dar najcenniejszy, lecz z tego, jak je brali do ręki, poznali podchorążowie łącno, że wielu z nich poraz pierwszy z bronią ma do czynienia...

— Mały! — a umiesz ty karabin nabijać? — spytał naraz podchorąży Piechowski małego Rettela, widząc, jak ten broń trzyma.

— Nie, — odrzekł zapytany szczerze.

— A więc patrz. Oto tak...

Zwartem kołem otoczyli go spiskowcy cywilni, a on spokojnie, jakby na mustrze, pokazywał im, jak trzymać karabin należy, jak kłaść ładunek i zakładać skalę...

Skończył i rzekł:

— A teraz spróbujcie!...

Spróbowali, a szło im tak sprawnie, jakby z bronią oddawna do czynienia mieli...

— Doskonale! — pochwalił Trzaskowski.

Ogarnął wzrokiem swą drużynę Nabelak i wyrzekł:

— Idziemy!...

Ustawili się parami, i równym cichym krokiem,

podążyli w górę Łazienek, a pozostali odprowadzali ich wzrokiem, szepcząc:

— Niech was Bóg prowadzi i da zwycięstwo...

*

Wąską drogą, prowadzącą pod górę, pomiędzy ogrodami Botanicznym a Belwederskim, w milczeniu głębokiem posuwał się oddział spiskowców, starając się iść jak najciszej, by najmniejszym hałasem nie zwrócić na siebie uwagi inwalidów, stojących na warcie przy pałacu...

Wzrosła ich liczba, gdyż do czterestu cywilnych Nabelaka dodał Wysocki sześciu podchorążych czynnych, oraz trzech dymisjonowanych. Komendę nad wszystkimi objął z natury rzeczy podchorąży Trzaskowski, który, gdy oddział cały zbliżał się już do ogrodu Belwederskiego, wstrzymał go i spytał cichym, lecz wyraźnym i przejmującym głosem:

— Czy prawda, że nas jest za mało, abyśmy brali kogobądź do niewoli?

— Prawda! — odpowiedzieli mu wszyscy stanowczo.

— To! — syknął Trzaskowski i zrobił ręką gest tak wymowny, tak wyrazisty, że wszystkich dreszcz zimny przeszedł na myśl, że za chwilę, być może, ręce ich śmierć zadawać będą...

Lecz Trzaskowski nie pozwolił im zbyt długo pozostawać pod tem wrażeniem. W dalszym ciągu trwając w swej roli dowódcy, mówił:

— Podzielimy się teraz na dwa oddziały... Kobyliński, ty weźmiesz sześciu i zajdziesz na tyły pałacu, od strony tarasu, a pozostałych ja poprowadzę od frontu... Uderzymy razem, czekać na znak!...

Oddziałek sprawnie podzielił się na dwie części i spiskowcy, kryjąc się w cieniu drzew, ażeby ich nie spostrzeżono, podążyli już prosto do celu...

Cisza panowała w całym pałacu, cisza zwykła w tym czasie, gdyż Konstanty odbywał swą drzemkę poobiednią, w czasie której nie znosił żadnych hałasów i srogo karał każdego, kto mu się ją przerwać ośmielił, choćby nawet przybył w sprawie pierwszorzędnej wagi...

Niecierpliwiła ta drzemka wielce wiceprezydenta Warszawy, M. Lubowidzkiego i gen. Gendre, którzy przybyli z doniesieniem o spodziewanym lada chwila wybuchu rewolucji i z listami nowych aresztowań, które bunt stłumić miały w zarodku...

Lecz Kostanty spał spokojnie, ukołysany niedawnymi zapewnieniami prezesa Komisji rządowej spraw wewnętrznych, Mostowskiego, że niema nawet mowy, by lud warszawski porwał się do buntu, a wojsko... tego w. książę był zupełnie pewny...

Na straży spoczynku Konstantego czuwali wierni słudzy — majordomus Jan Kochanowski i kamerłokaj Bartołomiejew, za żadną cenę nie chcący dopuścić ich przed oblicze w. księcia, aż ich sam nie zawezwie....

— Budzić cesarzewicza! — mówili z przerażeniem: wejść tam teraz... panowie nie wiecie... straszny jest wtedy... zabić może...

Zdenerwowani też chodzili dostojnicy po pokoju, po miękkim dywanie, tłumiącym ich kroki, zamieniając od czasu do czasu urywane zdania, gdy naraz od strony tarasu rozległy się, jak grzmot, dwa wystrzały, a wnet potem w przedsionku rozległ się gwar zmieszanych głosów, krzyki, huk wystrzału, szamotanie...

Dała się słyszeć czyjaś, donośnym głosem wypowiedziana komenda:

— Panowie Na górę! — i wnet rozbrzmiał tętent licznych kroków na schodach...

Pobledli z trwogi Gendre, Kochanowski i Bartołomiejew pobiegli do garderoby Konstantego, by go

obudzić, ostrzec przed niebezpieczeństwem, by z nim razem ratunku szukać w ucieczce przed tą straszną zgrozą, przed śmiercią, która z takim rozgwarem i szcękaniem broni kroczyła nieubłaganie naprzód, tam, po schodach...

Nie przyłączył się do nich Lubowidzki, lecz pchany jakąś dziwną i niezrozumiałą ciekawością, pobiegł do drzwi szklanych, prowadzących na schody...

Wyjrzał przez nie i wtedy dopiero przejął go dreszcz lęku... Schodami, ku górze, coraz wyżej i wyżej, wspinał się grzebień błyszczących bagnetów...

Błyskawicą przebiegło mu przez myśl:

— To bunt!... to rewolucja!...

Ten bunt i ta rewolucja, przed którymi ustawicznie ostrzegał Konstantego, przyszły nareszcie tu same, do jaskini tygrysa, do Belwederu...

I nagłą przejęty trwogą przed tem nieznanem, co ujrzał na ostrzach bagnetów, pomknął do garderoby, a ujrawszy stojącego tam w drzwiach, wiodących do gabinetu, za plecami kamerdynera Friese, Konstantego, zawołał:

— Źle, mości książę, ratuj się!...

Zamknęły się przed nim drzwi gabinetu, a jednocześnie grzebień bagnetów wkroczył do garderoby... Żądło jednego z nich wpiło się w ciało Lubowidzkiego, za nim poszły inne, i nieszczęsny szef szpiegów wielkoksiążęcych padł nieprzytomny, brocząc krwią obficie, na progu komnaty tego, któremu tak wiernie służył...

Krzyki i hałas wzmogły się, rozlegały się ze wszystkich stron, a wydawała je służba pałacowa, przerażona napadem...

Dobiegły one i do komnat księżnej Łowickiej, która siedziała przy kominku, w towarzystwie lektorki, czytającej monotonnym głosem jakiś romans francuski...

Zatopiona w myślach, błądzących daleko, nie różniała nawet słów, gdy naraz posłyszała strzały, krzyki i cały zamęt... Porwała się wystraszona, rozumiejąc, że stało się coś niezwykłego, i podczas gdy towarzysza jej, przerażona, wtuliła się w kąt, nie mogąc wyrzec ani słowa, odmawiać poczęła głośno słowa litań, w modlitwie, jak zwykle, szukając ratunku...

Wtem z trzaskiem rozwarły się drzwi sekretne, wiodące z gabinetu w. księcia, i wpadł przez nie Konstanty, blady, wystraszony, w szlafroku i bieliźnie, a za nim Kochanowski i Friese, niosący ubranie jego...

W szeroko rozwartych małych oczkach Konstantego widniały przerażenie i zgroza... Być może odbiło się w nich nagle wspomnienie owej strasznej nocy, przed trzydziestu niespełna laty, w dalekim mroźnym Petersburgu, w carskim pałacu Zimowym, gdy gromada spiskowców szukała tak samo ojca jego, cara Pawła, by go zadławić, by usunąć tyrana...

I podobnie jak wtedy, jakby echo owych chwil straszliwych, dobiegało z dołu i z przyległych komnat wołanie:

— Śmierć tyranowi!...

Pobielałemi ustami bełkotał coś niewyraźnie, z czego jedynie zrozumieć zdołała:

— Bunt... rewolucja... to Polacy... księżno!...

A w niej, jakby nagle pod wpływem tej zgrozy, co się czaiła za drzwiami jej komnat, zbudziła się rycerska krew przodków... Wyprostowała się i patrząc mu prosto w twarz, rzekła:

— Nie lękaj się, księżo... u mnie nic ci się nie stanie... Polacy nie mordują kobiet...

Chciał jej coś rzec Konstanty, lecz porwany przez nietracącego przytomności Friesego, wypchnięty został przez niego na schody wewnętrzne, prowadzące na górę, do pokojów służby...

A w komnatach pałacowych, na dole i na górze,

wrzawa i zamęt rosły, potężniały... To służba pałacowa, natchniona dziwną odwagą, wstąpiła w bój z napaścnikami... Rozległy się krzyki i jęki rannych...

Spiskowi, torując sobie drogę bagnetem, wpadli do gabinetu cesarzewicza, lecz tam zastali łóżko próżne, choć ciepłe jeszcze...

Jeden z nich uchylił drzwi do komnaty księżnej Łowickiej, lecz ujrzawszy ją, otoczoną wkoło gronem wystraszonych panien służebnych, ukłonił się jej i cofnął, zamykając drzwi za sobą...

Naraz na dziedzińcu pałacu dały się słyszeć okrzyki:

— Już krótki nos nie żyje!...

Dobiegły one do uszu spiskowców i wnet wybiegać poczęli oni z pałacu na dziedziniec...

Tam, przy bramie, przy stajniach pałacowych, leżał człowiek w mundurze generalskim, brocząc obficie biel śniegu purpurą krwi swojej...

Otoczyli go kołem spiskowcy i przy migotliwym świetle latarni spojrzeli na twarz jego... Nie był to Konstanty, był to gen. Gendre...

Uchodząc wraz z Kochanowskim i Bartłomiejem na strych, pomimo bojaźliwych ostrzeżeń pierwszego, wybiegł na ganek apartamentów księżnej Łowickiej, skąd zeskoczył na dziedziniec, by wezwać pomocy służby stajennej, by zaalarmować oddziały rosyjskie...

Biegnącego poczęli ścigać stojący na dziedzińcu spiskowcy, a dopadłszy go, Goszczyński, zwiedziony podobieństwem jego do księcia Kontasntego, dwoma potężnymi pchnięciami bagnetu powalił go na ziemię, podczas gdy pozostali wszczęli walkę z uzbrojoną już służbą stajenną, raniąc przytem śmiertelnie paru z nich...

Stąd też wziął początek ten okrzyk i to wycofanie się spiskowców z pałacu.

Po poznaniu jednak pomyłki, zapóźno już było wracać do pałacu, by kończyć krwawe dzieło...

Ze wszystkich stron nadbiegała już uzbrojona służba, która śmiało rzucała się na spiskowców, lada chwila przybyć mogły zaalarmowane pułki rosyjskie...

Rozległa się komenda:

— Uchodźmy!...

I spiskowcy, odrzuciwszy bagnetami napierających na nich stajennych, pędem wybiegli z dziedzińca, a ominąwszy ogród Belwederski, podążyli ku mostowi Jana III, do szkoły podchorążych...

A na drodze rozlegał się już tętent koni kirasjerów, dążących na pomoc w. księciu, więc nie chcąc być ujętymi kryć się musieli za drzewami, przebywać mury, kalecząc się przytem, aż wreszcie przebyli szczęśliwie całą drogę i połączyli się z podchorążówką...

Po zameście i gwarze w pałacu Belwederskim zapanowała nagle cisza, przerywana tylko jękami rannych...

W pokoiku na strychu, przy migotliwym świetle świecy, Konstanty przy pomocy Kochanowskiego ubierał się spiesźnie, gdy wtem naraz rozległ się huk strzału, brzęknęła wybita szyba, i kula utkwiała w ścianie...

To strzelał oddział Kobyłańskiego, który skutkiem wysokiego tarasu nie mógł się dostać do pałacu...

Przytomny Kochanowski, zgasiwszy światło, wciągnął Konstantego w kąt, gdzie mur chronił od strzałów, i kończył spiesźnie ubierać go...

Naraz rozległ się tętent i krzyki rosyjskie... To przybyli pod wodzą naturalnego syna Konstantego, por. Pawła Aleksandrowa, kirasjerzy podolscy, otaczali pałac...

Konstanty był ocalony...

Gdy ta garść spiskowców maszerowała pod Belweder, Wysocki, pozostawiwszy na dole część towarzyszy swoich, sam ze Szleglem i Dobrowolskim udał się na pierwsze piętro, gdzie mieściły się sale wykładowe...

Tam, w sali II dywizjonu, wykladał podchorąży Józef Kowacz teorię szkoły bataljonu. Stał on przy wielkiej tablicy, kreśląc na niej rysunki sytuacyjne, gdy naraz do sali wszedł Wysocki, i zbliżywszy się do niego, spytał krótko:

— Czy już skończyłeś?...

— Nie, — odrzekł Kowacz.

— Zostaw resztę na potem, — rzekł wtedy Wysocki, i zwracając się do siedzących w pełnym napięciu oczekiwaniu podchorążych, zawołał:

— Panowie! Godzina zemsty wybiła, dziś albo zginąć, albo wrogów naszych zwyciężyć musimy... Niech piersi nasze będą Termopilami dla nich!... Udajcie się na salę zbrojną po broń w największej cichości, ładunki znajdują się na sali jadalnej, kompanje wyborcze, saperów i inne, działają z nami i czekają na nas... Dziś nietylko u nas, ale i w innych krajach jest rewolucja!..

Przemowy jego wysłuchano w grobowym milczeniu, lecz odpowiedzią mu, pomimo zalecanej ciszy, był tak żywiołowy wybuch radości, że mimowoli z piersi tej młodzieży wyrwał donośne okrzyki...

Wszakżeż pękły nareszcie od tak dawna nakładane przymusowe pęta oczekiwania i milczenia, wszakżeż wybiła wreszcie ta upragniona tak gorąco godzina czynu, do którego młodzież tak rwała się, którego tak pragnęła...

Porwano się z miejsc i rzucono ku drzwiom, rozwierając je z takim hałasem, jakby nagły wystrzał nastąpił...

Wysocki z powagą na twarzy patrzył na ten wy-

buch zapalu, poczem przeszedł do sali I dywizjonu, gdzie wykladał właśnie podchorąży, Apolinary Nyko, jeden z najgorętszych spiskowców...

Ten, ujrawszy we drzwiach Wysockiego, przerwał natychmiast wykład i zwijając notatki, zawołał krótko:

— Do broni, koledzy!...

Zrozumiała to młodzież i wnet wybiegła po broń...

Powstały tak nagle hałas zaalarmował służbowego oficera szkoły, ppor. grenadjerów gwardji, Kajetana Niewęglowskiego... Wybiegł on z swego pokoju i pomyknął na górę, gdzie na korytarzu napotkał dymisjonowanego podporucznika Dobrowolskiego, w mundurze oficera czynnego, i zatrzymawszy go, spytał:

— Co to wszystko znaczy?... dlaczego przerwano wykłady?...

Nic mu zrazu nie odpowiedział Dobrowolski, tylko porwawszy za ramię, pociągnął na dół, dodając:

— Zobaczysz, co to znaczy!...

Stawiał mu opór Niewęglowski, a zobaczywszy stojącego bezradnie na uboczu podoficera grenadjerów gwardji, Leszczyńskiego, zawołał do niego:

— Biegnij natychmiast zawiadomić o wszystkim podpułkownika Olędzkiego!...

Podbiegł wtedy do niego Szlegel z pistoletem w ręku i zawołał:

— Nie kompromituj mnie, bo ja tu jestem przysłany po to, abym ich poprowadził!...

Otoczyła go wnet grupa podchorążych z bronią w ręku i pilnowała bacznie każdego ruchu jego...

Nie uspokoił się jednak na ten widok Niewęglowski, rzucał się, wzywał podchorążych do posłuszeństwa i uspokojenia, groził im, zwłaszcza widząc, że porwawszy za broń, wybiegali oni przed szkołę, usta-

wiali się w ordynku i strzelali do oddziału pięciu kirasjerów podolskich, którzy przyszli zmienić wartę...

Gdy przekonywania, by uspokoił się, nie odnosiły skutku, podchorążowie, podnieceni zachowaniem się jego, pchnęli go kilkakrotnie bagnietami, a gdy padł nieprzytomny, brocząc krwią obficie, wybiegli przed szkołę i połączyli się z kolegami...

Grupa niewtajemniczonych w spiszek podchorążych podbiegła do Wysockiego, zapytując się go, co to wszystko oznaczać może, a on odrzekł im:

— Panowie, dzisiaj Rosjanie nas, Polaków, a w szczególności podchorążych, wyróżnić mieli. Dzisiaj jest rewolucja. Czeka na nas wojsko i naród!...

I podczas gdy na dole szumiało jak w ulu, Wysocki, bez broni i eskorty, wszedł znów na górę, tam, gdzie mieścili się junkrzy rosyjscy, najpierw do sali litewskiego, a następnie wołyńskiego pułku, i w krótkich słowach zawiadomił ich o wybuchu rewolucji i zapewnił, że nic im się nie stanie...

Ujrawszy wśród nich bliżej mu znanego z szlachetnego sposobu myśli junkra Puhałowa, podał mu rękę i rzekł:

— Żegnam cię, prawdziwy Rosjaninie!... Rewolucja, która wybuchła, powołuje mnie do miasta...

Wychodził już z sali, by połączyć się z podchorążymi i poprowadzić ich do boju, gdy naraz drzwi sali rozwarły się z trzaskiem i wpadła grupa podchorążych, wołając:

— Panowie junkrzy! Którzy z was są Polakami, prosimy do szeregów naszych, razem idziemy na wroga!...

Lećz mimo to, iż wśród junkrów znajdowało się wielu Polaków z Litwy i Rusi, dwaj tylko, Romuald Paszkowski i Klemens Krzyżanowski, połączyli się z podchorążymi, pozostali odmówili stanowczo udziału w tej awanturze, jak mówili...

Zawrzeli gniewem młodzi podchorążowie i, miotając przekleństwa i wyzwiska, rzucili się na nich, by siłą zmusić do połączenia się z nimi...

Wynikła bójka, w której junkrzy, chwyciwszy za broń, odpierali natarcia podchorążych, i jeden z nich, Polak z Litwy, Dziewiątkiewicz, pchnął bagnetem podchorążego Napoleona Ponińskiego.

Ażeby ująć porywca, poczęli junkrzy litewscy wyskakiwać z okien pierwszego piętra, aż wreszcie wyratował ich Wysocki, powstrzymując podchorążych i mówiąc:

— Panowie!.. nie wolno nikogo gwałtem zmuszać do udziału w rewolucji!..

Cofnęli się podchorążowie, a niektórzy z junkrów, korzystając z tego, pomknęli do miasta, do swoich oddziałów, by je zaalarmować i poprowadzić przeciwko rewolucjonistom... Paru z nich też, pojmany przez oddziały rewolucyjne, przypląciło to życiem...

Inni pozostali w szkole, biernie przypatrując się rozwijającym się wypadkom...

Gdy już stanął w ordynku zastęp stu trzydziestu kilku młodych podchorążych, gotowych życie swe złożyć w ofierze, byle tylko Ojczyźnie wolność zapewnić, przekonanych w młodzieńczym porywie, że przy zapowiedzianej pomocy czterech kompanij strzelca cudów dokazać mogą, — przed szeregi ich wystąpił spokojny, zrównoważony Wysocki i rzekł krótko:

— Bracia! Nadeszła chwila decydująca... Przysięgliśmy życie poświęcić dla zdobycia wolności Ojczyźnie... Nadszedł czas dotrzymania tej przysięgi!..

Poczem, mając przy boku swoim nie mogącego ustać z niecierpliwości Szlegla, skomenderował:

— Na prawo zwrot, marsz! — i poprowadził niecierpliwy oddział przez lasek w stronę koszar rosyjskiego pułku ułanów Cesarzewicza...

* * *

Szli jak burza, pełni żywiołowej, niepohamowanej radości, że zerwane zostały nareszcie pęta, krępujące ich wolę, że porwali się wreszcie do czynu, do którego tęsknili, pragnienie którego tłumili przemocą w swych sercach i duszach przez lat tyle...

I w tym porywie szaleńczej gromady straceńców był taki rozmach, był taki impet, że, zdawało się, rzucił się na całą potencję moskiewską w Warszawie, by ostrzami bagnetów wymordować ją, by wraz z pułki ogniem karabinów zmusić do ustąpienia nietylko ze stolicy, ale i z kraju...

W tem ich szaleństwie było rzeczywiście coś z bohaterstwa Termopilan, gdy, nie oglądając się na nadejść mającą pomoc, nie oczekując na nią, szli nieustraszenie w bój z przeważającym znacznie wrogiem, by trupami swemi usłać drogę do zwycięstwa dla tych, którzy po nich przyjść mieli...

I zdawało się, że nic ich w tym pochodzie naprzód nie powstrzyma, że będą szli przed siebie, topniejąc stopniowo w krwawych walkach z wrogiem, aż wreszcie ostatni dotrze do wojska, do ludu polskiego, i wskazując na krwawe rany swoje, przez które życie uchodziło, na usłaną trupami drogę, rzeknie:

— Teraz czyńcie wy co do was należy... teraz na was kolej!..

Lecz na szczęście przy szaleńcach tych była rozważa, był rozum, trzeźwo i spokojnie patrzący na bieg wypadków, panujący nad nimi i umiejący pokierować nimi tak, by przynajmniej z początku ofiary te bezpłodnie nie były...

Był Wysocki...

Po ustawieniu się w szeregi garści podchorążych, czekał jeszcze czas pewien na nadejście kompanij piechoty, z którą, zgodnie z planem, miał zamknąć wyjście ułanom i kirasjerom, by z pomocą Belwederowi podążyć nie mogli...

Nie nadchodziła jednak...

Widząc niecierpliwość, malującą się na twarzach młodzieży, czując, że długo nie zdoła ich utrzymać, że oczekiwanie zgasić w nich może i poryw i zapal, wydał rozkaz:

— Pierwszy pluton ognia w górę, pal!...

Miał zamiar zaalarmować w ten sposób piechotę, o ile znajdowała się w pobliżu...

Rozległ się huk salwy, a gdy odgłos jej przebrzmiał, nasłuchiwali wszyscy, czy nie słychać kroków maszerującej piechoty...

Cisza jednak panowała wokoło...

Niecierpliwość rosła, czuł Wysocki, że już dłużej nie zdoła powstrzymać jej na wodzy. Przywołał więc do siebie podchorążego Nyko i podporucznika Dobrowolskiego, i rzekł im:

— Dotrzecie natychmiast do koszar na Ordynacką i sprowadźcie tu bataljon strzelców, następnie zaś zaalarmujcie całą Warszawę...

Podążyli wysłańcy, a Wysocki, czując, że dalsze oczekiwanie osłabi tylko zapal podchorążych, skomenderował:

— Broń na ramię! naprzód, marsz!...

I poprowadził ich prosto do koszar ułańskich, by śmiało natarciem powstrzymać jazdę rosyjską, za nim nadejdą oczekiwane posiłki...

W koszarach ułanów panował ruch... Zaalarmowani już byli pożarem na Solcu, a przed chwilą wpadł do koszar junkier pułku Wołyńskiego, Alesiuk, który wymknąć się zdołał ze szkoły podchorążych i beładnie opowiadał oficerom o buncie tejże...

Popędził dalej, by alarmować inne pułki rosyjskie, a oficerowie nagwałt wydawali rozkazy, by dążyć z pomocą do Belwederu, by być gotowymi na rozkazy, których spodziewali się lada chwila...

W tem od strony mostków przez rowy, otaczające koszary, dały się słyszeć odgłosy walki...

To „zbuntowani“ podchorążowie, rozbroiwszy wartowników, opanowali mostki i wtargnęli na dziedziniec...

Rozległy się strzały... Próżno ułani starali się bronić lancami i szablami... Szaleńczy, nie liczący się z niczem atak garści straceńców spędzał ich z dziedzińca do stajen, gdzie wślad za nimi wtargnęły oddziały podchorążych i coraz strzelały wzdłuż ścian do koni i ludzi...

Zapanował zamęt niesłychany i chaos, rozlegały się beładne strzały, kwik i rżenie koni, krzyk ludzi, a nad wszystkim górowały donośne głosy Wysockiego i Szlegla, wołających:

— Panowie! trzymajcie się kupy!... — to znów donośne głosy oficerów ułańskich, wydających rozkazy żołnierzom swoim...

Wysocki starał się opanować sytuację, z zimną krwią wydając rozkazy, choć duszę jego szarpała rozpacz...

Przez cały czas nasłuchiwał bacznie, czy nie słychać nadchodzącej piechoty...

Gdybyż nadeszła!... Wtedy by z łatwością zmusił nie tylko ułanów, ale i kirasjerów i huzarów do podania się, unieruchomiłby ich, nie pozwolił im na podążenie na pomoc Belwederowi...

Piechota jednak nie nadchodziła... Natomiast od strony koszar kirasjerów i huzarów rozlegały się odgłosy trąbek alarmowych, rozpacznie wzywających pomocy...

Czuł, że dłużej nie wytrwa na tym posterunku, że bez posiłków garść wiernych sprawie podchorążych czeka zagłada...

Rozległy się wołania:

— Zapalić stajnie!..

— Po sienniki do koszar!... Niech niefrontowi przyniosą!...

Próżno jednak w zamęcie walki usiłowano podpalić stajnie... Ułanom przybywały posiłki, siły ich rosły, gdy naraz od strony rozstawionych pikiet rozległy się złowróżbne głosy:

— Kirasjerzy i huzarzy otaczają nas!...

Zrozumiał wtedy Wysocki, iż walkę na tym posterunku uważać należy za straconą, że dalsze w niej trwanie pociągnęłoby tylko za sobą niepotrzebne ofiary, a samej sprawie niewypowiedzianą szkodę przynieść mogło...

Rzucił więc rozkaz, i wnet walczące grupy podchorążych wycofywać się z boju poczęły, pnać się w górę Agrykoli, ku mostowi Jana III.

Zatrzymali się tam, licząc straty, które były nieznaczne, i opatrując rany, które były niegroźne, gdy naraz wyrosła przed nimi grupa zadyszanych cywilów...

Poznał w nich Wysocki tych, którym polecone było zdobycie Belwederu... Zwrócił się do Nabelaka i spytał gwałtownie:

— Cóż tam? — Jakżeż Konstany?...

— Żle! — odpowiedział Nabelak i w krótkich słowach opowiedział dzieje swej wyprawy...

Rozpacz targnęła sercem Wysockiego... I tu niepowodzenie... Na samym początku wszczętej walki same zawody, same kłeski... Lecz wnet przyszedł do równowagi... Cofać się nie wolno, dla dwóch niepowodzeń nie wolno porzucać rozpoczętego dzieła, trzeba je doprowadzić do samego końca, choćby tam tylko śmierć czekała...

Poleciwszy Szległowi zaprowadzić ład w szeregach podchorążych, wysłał z nich paru na zdobycznych koniach ułańskich do miasta na zwiady i wywołanie aiaru...

Przeprowadzony naprędce apel, stwierdził brak paru podchorążych... To małoduszni, tchórzliwi, ułakłszy się śmierci, myśląc, że sprawa jest przegrana, odłączyli się w czasie odwrotu i przezornie a nieopstrzeżenie ukryli w lasku Łazienkowskim, by przecze-kać zamęt i wyjść, gdy się już wszystko uspokoi...

Wysocki trwał na moście Sobieskiego, czekając na posiłki i wieści z miasta... Wysyłał na zwiady i sam chodził na nie...

Przyszły wreszcie wieści, a miały charakter niepokojący, alarmujący, gdyż głosiły, że wszystkiemi drogami ciągną do Belwederu kirasjerzy... Zrozumiał wtedy, że dalsze oczekiwanie może być niebezpiecznem, że Konstany, mając przy sobie siłę zbrojną, z łatwością otoczyć i zgnieść ich może, opanowując w ten sposób sytuację... Postanowił zatem wyruszyć do miasta, ażeby połączyć się z innymi oddziałami i łączyć z nimi stawić czoło wrogowi...

Zdecydowany na wszystko, poprowadził garść swoich przez lasek, stokami wzgórza Ujazdowskiego, ku placowi Trzech Krzyży... Umyślnie wybrał tę drogę, licząc, że na niej nie spotka nieprzyjaciół.

Lecz i tam natknęli się na szwadron kirasjerów podolskich... nie cofnęli się jednak, a prażąc ich gęstym ogniem, kładąc trupem i raniąc kilku, — odpe-dzili...

Ruszyli wnet potem szybkim krokiem naprzód, sły-sząc za sobą tętent koni ścigających ich kawalerji... Szli, zdecydowani na wszystko, byle tylko czempredzej dopaść koszar Radziwiłowskich, gdzie spodziewali się znaleźć pomoc weteranów i 7 pułku piechoty.

Dopadli wreszcie do nich, lecz, o rozpacz!... brama zamknięta była na mur, a wojska, znajdujące się w koszarach, powstrzymywane przez oficerów, nie ru-szyły im z pomocą...

Nie przybył również i oddział 4 p. p., trzymający wartę w szpitalu Ujazdowskim...

Do serc ich zakradać się zaczęła rozpacz, ogarniała ich dziwne uczucie opuszczenia, osamotnienia, a przytem od strony Alei dobiegał tętent mknącej przeciwko nim konnicy...

W ten sposób wzięci byli w dwa ognie, przez dwa oddziały kawalerji, tak że nic innego im nie pozostało, jak walczyć, i zwyciężyć lub zginąć...

Wtulili się we wnęki bram, zamkniętych na moc, i dopuściwszy kawalerję rosyjską na dystans odpowiedni, zaczęli rozpaczliwie, gorączkowo strzelać w obydwóch kierunkach, i do huzarów i do ułanów...

Karabiny swe wspierali, dla lepszego celowania, na ramionach kolegów i cywilów, a skuteczność strzałów ich taką była, że ułani, zasławszy rannymi ludźmi i końmi ulicę, wycofali się spieszenie w Aleje, zwłaszcza że oddział podchorążych, jak młode lwy nieustraszonych, z bagnetami na karabinach, sunął ku nim w stronę ulicy Wiejskiej...

Odparłszy w ten sposób atak wrogów, oczyściwszy sobie drogę naprzód podchorążowie w ordynku ruszyli Wiejską ulicą ku Placowi Trzech Krzyży...

Lecz drogę tą odbyć musieli wśród ciągłych utarczek... Na wszczęty alarm ze wszystkich stron miasta podążali oficerowie rosyjscy do swoich koszar... Jechali konno i dorożkami, przemykali się pieszo, pędzili ordynansi, kozacy, posyłki...

Podchorążowie zatrzymywali ich, zsadzali z koni, ostrzeliwując tych, którzy nie chcieli usłuchać wezwania...

Co chwila rozlegały się okrzyki:

— Stój!... Zsiądź z konia!... Złóż broń!...

Większość oficerów nie chciała usłuchać tego wezwania, usiłowała przebić się z bronią w rękę, niektó-

rzy wychodzili z tej walki cało, inni z ranami, a i trupy zabitych gęsto słały drogę...

Tchórzliwsi z oficerów rosyjskich, na widok sunącej jak burza gromady straceńców, zawracali, i albo starali się dostać do koszar okólnymi drogami, albo, wróciwszy do domu, przebierali się po cywilnemu i chyłkiem przemykali się w Aleje...

A tymczasem oddział podchorążych z rozpaczą, a jednocześnie z determinacją w sercu wyszedł z Wiejskiej na Plac Trzech Krzyży... Wysocki kroczył na czele, prąc do arsenału, gdzie spodziewał się zastać zgromadzone już inne oddziały....

Naraz ujrzał przed sobą jeźdźca na pięknym gnioszku... Przybrany w płaszcz, przepasany szarfą, z szpadą u boku, mknął w stronę Alei...

Zatrzymano go... Przy migotliwym i słabem świetle latarni olejnej poznano go. Był to gen. Stanisław Potocki, uczestnik bojów Kościuszki i Napoleona, kochany przez wojsko, jeden z tych, na których liczone, że staną na czele szeregów, walczących o wolność Ojczyzny...

Otoczyli go zwartem kołem podchorążowie, a Wysocki, stojąc tuż przy nim, zawołał:

— Generale, zaklinam cię na miłość Ojczyzny, na pamięć więzów Igelströma, w których tak długo jęczałeś, stań na naszym czele!... Nie sądzi, że sama szkoła powstała... Całe wojsko zmierza do swoich stanowisk i jest za nami!...

I za nim chórem wołali wszyscy podchorążowie:

— Generale! prowadź nas dalej!...

W porywie entuzjazmu, pod naporem roztrzęsionych nerwów, Nereusz Różański przypadł ustami do ręki generała...

Potocki stał bezradny, nie wiedząc, co czynić... Sercem prawego patrioty, patrzącego z bólem i obu-

rzeniem na bezprawia i ucisk moskiewski, był z tymi buntownikami, z tą młodzieżą, dziećmi prawie, niosącą żagiew buntu dla ratowania zgnębitej Ojczyzny...

Lecz karność i rozum żołnierza, wierność złożonej przysiędze, honor wreszcie nakazywały mu odrzucić te ich prośby, udać się tam, gdzie sądził, że mu obowiązek udać się nakazuje, do władzy, którą uważał za swą prawowitą...

Chciał przemówić do nich ostro, skarcić, nakazać powrót do koszar, lecz zbrakło mu sił do tego...

— Dzieci, — wyrzekł łagodnie: uspokójcie się!... Nie dajcie się ponosić szaleństwu... Wróćcie do szkoły, a ja postaram się sprawę załagodzić!...

Spojrzał mu w oczy Wysocki i wyczytał z nich, że generał nie będzie przeciwko nim, lecz że i nie będzie z nimi, że potępia ich czyn, uważając go za zbrodnię niesubordynacji... Westchnął też smutnie i zawołał:

— Panowie!... rozstąpcie się i przepuście generała!...

W milczeniu rozstąpiły się szeregi podchorążych, przepuszczając generała, który, po chwilowem wahaniu, pomknął do Belwederu...

Smutnym wzrokiem patrzył w ślad za nim Wysocki, czując, że z każdym krokiem konia rwie się i tak wąła nić, wiążącą go z nimi...

Zbliżała się już prawie godzina dziewiąta wieczór, gdy Szkoła Podchorążych wkroczyła na Nowy Świat...

Ciszę ulicy przerywał tylko odgłos jej kroków, warczenie bębna i rozgłosny okrzyk:

— Polacy!... do broni!... — którym usiłovali porwać do czynu mieszkańców miasta...

Lecz na ten ich okrzyk ulica odpowiedziała milczeniem... Zamykano spiesznie bramy i sklepy, zasłaniało okna, a z poza zapuszczonych firanek śledziły ich

kroki blade, wystraszone twarze bogatych mieszkańców Nowego Świata...

Szli w tej pustce straszliwej, samotni, opuszczeni przez wszystkich, i powoli do serc ich wkładać się poczęło poczucie tej samotności, budzić się poczęła refleksja, czy wszystkie ich ofiary nie pójdą na marne, czy młodych żyć swoich nie złożą bezowocnie na ołtarzu Ojczyzny...

Lecz oto stopniowo na ich okrzyk:

— Do broni!... Kto kocha Ojczyznę... — uchylać się poczęły furtki i bramy domów, wymykać się z nich poczęli pojedynczo, a potem i grupkami obywatele i przyłączali się do nich...

Biedota to była, rzemieślnicy, mieszczuchy, lud szary, roboczy, rzadko gdzie błysnął surdut inteligenta, studenta, lecz mimo to, a może i dlatego, witali ich radośnie podchorążowie, czując, że w miarę wzrostu sił otucha w ich serca wstępować zaczyna, że nie są już sami... Uzbrajali przybywających w swe szable, ściskali im dłonie, i rosnąc w siły szli, szli naprzód, zachęceni przez Wysockiego słowami:

— Naprzód!... Nie lękajcie się!... Pójdziemy do arsenału, a tam niezawodnie zastaniemy nasze wojsko!...

Na tę zachętę odpowiadali mu podchorążowie gromkim okrzykiem:

— Do broni!...

I szli tak naprzód, jak lawina, rosnąc w moc i potęgę, aż wreszcie na rogu Ordynackiej spotkali kilku oficerów i szeregowych, dążących na ich spotkanie...

Byli to strzelcy piesi z bataljonu, na który oczekiwali tak długo, takim kosztem okupując zwłokę...

Dowiedzieli się od nich, że surowe zarządzenia starszyny wojskowej zatrzymały ich w koszarach, że oficerowie wyższych rang wrogo występowali prze-

ciwko ruchowi, nie chcąc pozwolić im na połączenie się z „buntownikami“...

Zawrzeli na to oburzeniem, i wśród wrogich okrzyków pod adresem tych, którzy ich ruch złamać chcieli, i płonąć pragnieniem pomsty szli już teraz jak burza, gotowi do złamania wszelkich przeszkód, niebacznym na nic, szli ku przeznaczeniu swemu, pchani przez los...

*

Podczas gdy południowe kresy stolicy rozbrzmiewały już odgłosami walki, gdy świstały tam kule i lała się krew, serce jej, prastare odwieczne Stare Miasto ze zwykłym spokojem szykowało się do spoczynku nocnego, nie przeczuwając nawet tego, co się za czas krótki stać miało...

Kończono pracę w warsztatach rzemieślniczych, przygotowywano się do zamykania sklepów, na ciemnych, ledwie rozjaśnionych migotliwymi latarniami olejnymi ulicach ruch stawał się coraz mniejszy z powodu biorącego na noc silniejszego mrozu, natomiast w gospodach i szynkowniach aż się roiło od ludzi, tonących w kłębach silnego dymu i rozgrzewających zziębłe ciała lampkami miodu lub blaszankami siwuchy, oraz gwarzących z cicha o sprawach szarych, codziennych, takich, jakim było całe ich życie...

Naraz w ten spokój, w tą ciszę, wpadł jakiś dziwny odgłos, jakby sygnał, jakby znak, który zburzył wszystko, zmącił i życie tych szarych mas na inne zgoła pchnął tory, budząc jakby echa niezbyt dawno minionej przeszłości, wskrzeszające we wszystkich nadzieję nową, jasną przyszłości...

Pierwszym znakiem było uderzenie na alarm pod Bernardynami i wystąpienie wojska, które zaciekało ludzi, zmusiło do pewnego zastanowienia swą

niezwykłością, lecz nie zdołało wyprowadzić ze zwykłej obojętności i równowagi...

Przecież było to mimo zgoła niezwyklej pory, rzecz często widywana...

Lecz oto wnet po tym alarmie zjawili się na Starem Mieście i przyległych ulicach ludzie młodzi, „akademicy“, z płonąącym wzrokiem, rozwianymi płaszczami, przebiegający od domu do domu, od gospody do gospody, od szynku do szynku, i donośnym głosem wołający:

— Polacy, do broni!... Moskale wyrzynają Szkołę Podchorążych w Łazienkach!... Idziemy na pomoc!

I na ten głos, na ten krzyk, z głębin serca płynący, drgnęło Stare Miasto...

W potulnych napozór mieszczanych zbudziły się naraz wspomnienia 1794 r., odezwała się krew Kilińskich, Sierakowskich i innych, i rzemieślnicy z czeladzią swoją, wyrobnicy, przekupnie, porzucali warsztaty, zamykali kramy swoje i chwytając co kto miał pod ręką, wylegali na ulicę, by iść z pomocą swoim, by bić Moskali...

Tu na odgłos alarmu i wołanie: do broni!... — nie zasłanianie okien, nie zatarasowywanie bram, nie pustoszały ulice... Tu tłum zapełniał je, każdy z domów wyrzucał gromadki podnieconych, wzburzonych obywateli, kupiących się grupami, rozprawiających z ożywieniem i gestykulacją, stających posłusznie pod komendę nieznanych im dotychczas przywódców, i idących karnie na pomoc tym, których zniechęcenie Moskale wyrzynać mieli, idących w bój o wolność Ojczyzny...

Straszna to była zbieranina... Począwszy od dostatnich strojów mieszczkańskich, skończywszy na obdartych świtkach wyrobników, o twarzach łącznie zbójeckich...

Broń też mieli różnorodną wielce, od szerpentyn napoły zardzewiałych poczawszy, od toporów rzeźniczych, na pałach żelaznych lub dębowych skończywszy. Lecz broń ta straszna była w rękach tych, którzy nią umiejętnie i z siłą władać umieli...

A wyległszy na ulice, nie zwlekali, nie marudzili, nie deliberowali, tylko odrazu zabierali się do dzieła... Jak koty na mysz rzucali się na zablakanych wśród nich oficerów rosyjskich, lub wziętych za nich polskich, i rozbajali ich...

Sarkali też głośno na gromadzące się powoli na Starem Mieście kompanje wyborcze 8 pułku piechoty, odprowadzani przez oficerów, tłumaczących się rozkazem....

Z każdą chwilą gromadki te rosły, potężniały, aż wreszcie rozbrzmiał jeden potężny krzyk — rozkaz:

— Pod arsenał!... Idziemy pod arsenał!...

I wnet pod wodzą przygodnych dowódców, odbierających rozkazy od Bronikowskiego, pociągnęły te gromadki pełne animuszu pod arsenał... boć tam broń, tam oparcie, które pozwoli zniemawidzonego wroga pokonać...

Patrzali na ten cały rozruch, nic zgoła nie rozumiejąc, imć pan Piotr Bartnik, stary policjant, który jeszcze w czasach pruskich służbę sprawował, a który z halabardą w garści ront na rynku odprawiał... Dorozumiawszy się wreszcie, że zbiera się na coś groźnego, zaczął wykrzykiwać:

— Uciszcie się!... Uspokójcie się!... Rozejść się!...

Nikt jednak na to wołanie jego żadnej uwagi nie zwracał i ginęło ono w wrzasku ogólnym... Tylko niektórzy, bliżej stojący, podsuwali mu wielkie ciężkie pięście pod sam nos i wołali:

— Milcz, dziadu!... Uciekaj, bo będzie z tobą źle!...

Uciszył się też stary halabardnik, i wsłuchując się

w te wrzaski, dorozumiewać się wreszcie począł, że ludzie ci wołają, ażeby iść bić Moskali. I naraz wspomniął sobie dawne młode lata, gdy kilkunastoletnim wyrostkiem bił ze wszystkimi Moskali, gdy pod Kościuszką walczył z nimi, i naraz jakby odrodził się, wyprostował się, z oczu jego sypnęły się iskry, i ścisnąwszy mocniej w garści halabardę, zawołał do otaczających go:

— Jak bić Moskali, to bić!... Dalej chłopcy, za mną!...

I pomknął naprzód, a za nim pędem biegli wszyscy...

Biegli tak przez ul. Długą w stronę arsenału, wołając przeraźliwie:

— Do broni!... Kto w Boga wierzy!... Moskale naszych wyrzynają!...

Dopadli wreszcie do bramy arsenału, a wtedy wystąpił naprzód tegi, barczysty czeladnik rzeźniczy, ubrojony w wielki, ciężki topór, i z całej mocy nim bramę rąbać począł, ażeby otworzyć przejście dla wszystkich, a stojący wkoło niego zachęcali go, wołając:

— Prędko, dobijaj się!...

Posłyszał ten hałas komendant warty arsenału, ppor. 4 pułku Karol Janowski i zebrawszy ilu tylko mógł ludzi z warty, pędem puścił się ku bramie...

Zawałał się przez chwilę, widząc co się dzieje, lecz wnet przyszedł do równowagi... Widząc, że sam nie zdoła stawić czoła podnieconemu tłumowi, a nie chcąc jątrzyć go energicznym stawianiem oporu, przeszedł koło niego z plutonem swoim, odsuwając w ten sposób i człowieka, rąbiącego bramę, i otaczający go tłum ludu od bramy...

Zatrzymał się potem i czekał...

Czekał i tłum, nie wiedząc co czynić, nie wiedząc, jak się wobec niego wojsko zachowa...

Naraz przysła wieść, że z dwóch stron, od ul. Przejazd i od Nalewek, nadchodzą bataljony wołyńców, — że prowadzą z sobą działa...

Tłum zamarł na tą wieść, lecz nie cofnął się ani na jeden krok... W sercu jego budzić się poczęła zaciętość, będąca cechą prawdziwego mazura, — zginę, a nie ustąpię...

Oglądał tylko poniekłóry broń, którą w garści dzierzył, i przymierzał, ażali dobrze mu ona w razie czego chodzić będzie...

Ślepa ludzkie złowrogo połyskiwać zaczęły, z pod zwieszających się wąsisków kły groźne ukazywały się, a przez zwarty tłum przebiegać zdał się warkot groźny, jakby poszum wichru przed burzą...

— A chodźcie no tu, psombraty, my was przywitamy, że popamiętacie ruski miesiąc...

Stali tak, spoglądając bacznie na obranych samorzutnie prowodyrów, czekając tylko skinienia ich, by rzucić się na wroga...

A ci, zatroskani wielce, przejęci myślą, że nie mogą w otwartej walce stawić dostatecznego oporu przewadze wroga, w razie porażki lacno całą sprawę pogrzebać mogą, ślali na wsze strony zwiady, czy nie nadchodzą wreszcie zapowiedziane posiłki...

Nie nadchodziły jednak...

A tymczasem słyhać już było ciężki krok maszerujących bataljonów moskiewskich, słyhać było turkot toczących się ciężko po wyboistym bruku dział...

Już tam poniekłóry z mieszczuchów przeżegnał się naboźnie, splunął w garść, by lepiej mu było drąg lub topór dzierżyć, z cichem westchnieniem poleciał duszę Panu i czekał tylko znaku, żeby uderzyć, gdy naraz rozległ się odgłos szybkiego biegu i krzyk radosny:

— Idą!... idą!... Przez Franciszkańską już biegną!...

To zwiady przyniosły radosną nowinę, która westchnienie ulgi ze wszystkich piersi wydarła...

Boć ginąć w walce dla Polaka to głupstwo, lecz zawsze lepiej jest żyć i zwyciężyć...

Za zwiadami wkrótce kłusem wbiegł bataljon czwartaków... Zdyszani żołnierze wnet na komendę oficerów stanęli w ordynku, wystawiając dwa groźne fronty przeciwko nadciągającemu wrogowi, biorąc między siebie pełne animuszu wojennego gromady mieszczan, mających iść im z sukursem...

*

Nie było czasu na dopytywanie się o powód spóźnienia, lecz z urywanych, krótkich relacji żołnierzy i oficerów dowiedzieli się zebrani, że na skutek zawiadomienia kpt. Dobrogoyskiego przybył do koszar sam pułkownik Bogusławski, starając się groźbą i prośbą powstrzymać zbuntowanych, aresztując nawet niektórych oficerów...

Lecz żołnierze głusi byli na wezwania jego... Z ulicy dobiegał już poszum zbierającego się tłumu, rozlegały się okrzyki:

— Do broni!... Naszych wyrzynają!... Na pomoc!...

Naraz rozbrzmiała chóralnie śpiewana pieśń:

— Jeszcze Polska nie zginęła!...

Dźwięki tej pieśni uniołowanej nadewszystko, podziałały na żołnierzy, jak uderzenie ostrogą... Odręczając zaklinającego ich na wszystko pułkownika, porwali za broń, nabijając ją w biegu, i kłusem pomknęli na wyznaczone zawczasu stanowisko, pod arsenał...

Przybyli w samą porę, gdyż zbliżały się już ciężkim, miarowym krokiem oddziały wołyńców...

W szeregach polskich w milczeniu oczekiwano zbliżenia się ich, a gdy znaleźli się już blisko, mocny głos zapytał:

— Kto idzie?...

— Swój, — brzmiała odpowiedź.

— Co za swój?...

— Gwardja wołyńska.

— Złóćcie broń! — rozległ się ten sam silny, ...-
kazuający głos.

Lecz dowódca wołyńców, podpułkownik Albertow, nie usłuchał tego wezwania, natomiast rozkazał wystąpić naprzód tyraljerom i rozpocząć ogień, wysyłając jednocześnie jedną kompanję, ażeby zajęła, przez ogród Krasińskich, tyły czwartakom...

Na strzały odpowiedzieli czwartacy również strzałami, przyczem dzielnie im pomagała ludność cywilna, nie chcąc stać w tyle, drąc się naprzód, byle tylko wziąć udział w tem pierwszym starciu z wrogiem...

Rzęsisty a celny ogień polski fatalnie miał skutki dla wołyńców, którzy gęstym trupem i rannymi zasłaniaли bruk ulicy... Posunąć się naprzód, by wstąpić w walkę wręcz, obawiali się, nie znając siły przeciwnika; zamierzał już Albertow wydać rozkaz strzelania z dział, gdy naraz pędem nadjechał do niego adjutant Konstantego, Gogiel, i pocichu zakomunikował mu nowe jakieś rozkazy...

Rozgrzany już toczącym się bojem Albertow, jak wilk popatrzał na wymykającą mu się zdobycz, na garść mężnie stawiającego mu opór wojska polskiego, i z westchnieniem wydał rozkaz cofania się...

Wnet po stronie moskiewskiej ustała strzelanina, i wołyńcy, unosząc swych rannych i zabitych, wycofywać się spieszenie zaczęli z pod arsenału... Czwartacy, czując swe słabe siły, nie ścigali ich, lecz żegnali natomiast salwą za salwą...

Na rozkaz Albertowa wycofał się również oddział wołyńców od strony ul. Dzikiej, ostrzeliwany przez oddział 5 pułku piechoty, przy krwawej łunie pożaru

domów, podpalonych z rozkazu Żaliwskiego przy ul. Dzikiej...

Cofający się szybko wołyńcy Albertowa ujrzeni naraz, iż drogę przez Nalewki zamyka im nadciągający spieszenie od strony ul. Franciszkańskiej silny oddział piechoty, biorący ich w ten sposób w pułapkę...

Byli to saperzy, którzy pomimo oporu swych przełożonych, a zwłaszcza ppłk. Maykowskiego, porwani na nogi przez oficerów-spiskowców, ubrawszy się spieszenie, wybiegli z swych koszar na placu Broni, i poryjwając swym zapałem nawet opornych, pomknęli Nalewkami w stronę arsenału, gdzie łuna pożaru zdawała się wzywać ich na pomoc...

Mimo panującego zamętu, ppłk. Maykowski nie stracił głowy, spokojnie wydawał rozkazy, obsadzając strażą koszary, poczem wsiadł na konia i wysunawszy się na czoło kolumny, rzucił rozkaz:

— Na ramię broń!... Sekcjami od prawego marsz!... — i poprowadził bataljon na pobliski Plac Broni, który był wyznaczony dla saperów na miejsce zbiórki alarmowej...

Tu zatrzymali się z bronią u nogi...

A tymczasem rozszerzająca się na niebie łuna pożaru, odległe a dobiegające do nich odgłosy strzelaniny, zdawały się wzywać ich na pomoc walczącym braćiom...

Nadjeżdżający ze wszęch stron spóźnieni oficerowie przywozili alarmujące wieści, że wołyńcy już wystąpili, że pod arsenałem toczy się bój zacięty...

A oni?... Muszą tu stać nieruchomo, posłuszni rozkazom dowódcy, który z niewiadomych powodów zwlekał, choć wszyscy aż dygotali z niecierpliwości...

Wyczerpała się wreszcie cierpliwość oficerów-spi-

skowców, i z szeregów wystąpił ppor. Malczewski. Podszedłszy do dowódcy, spytał:

— Czemu pan pułkownik nie każe maszerować naprzód?...

— Niech pan się uda na swoje miejsce, — odrzekł mu ppłk. Maykowski: tu jest miejsce zbioru i tu rozkazów gen. Żymirskiego oczekiwać winienem!...

A wtedy jakby krwawa mgła przesłoniła mózg Malczewskiego, błysnęła mu jedna myśl: — „zdrada!... my tu czekamy, a tam nasi giną!... Gdy zginą, gdy wołyńcy opanują arsenał, przepadła sprawa, przepadliśmy i my!“...

I nie pomny, co czyni, porwał za pistolet, nie mierząc do dowódcy, by nastraszyć go, wystrzelił!...

Błąd śmiertelnie zwrócił się do kolumny i wydał rozkaz:

— Na ramię broń!...

Lecz więcej zdumieni niż przerażeni tym czynem jego żołnierze nie usłuchali tego rozkazu, zaledwie paru z pierwszego szeregu zarzuciło broń na ramię, gotowi do pójścia za nim...

Wtedy z szeregów wyszli oficerowie i zwartem kołem otoczyli zmieszanego i zaskoczonego tem co zaszło Maykowskiego...

Oprzytomniał po chwili i zawołał:

— Co to jest?... Czy panowie nie macie do mnie zaufania?... Proszę panów na miejsca!...

I jakby zrozumiałszy po tym ostrzegawczym epizodzie, że dłużej zwlekać nie można, że cierpliwość tych żołnierzyków łącznie wyczerpać i przeciwko niemu obrócić się może, rzucił głośną komendę:

— Na ramię broń!... Bataljon naprzód!... Dyrekcja na lewo!... Krok podwójny!... Marsz!... Marsz!...

Westchnienie jakby ulgi przebiegło przez szeregi i bataljon ruszył szybkim krokiem przez Muranow-

ską ku Nalewkom, — szedł na odgłosy strzałów pod arsenał...

A gdy podeszli do ulicy Franciszkańskiej, w krwawym odblasku łuny pożarnej ujrzeni zbliżającą się ku nim ciemną masę piechoty... Byli to wołyńcy...

Zatrzymali się, — zatrzymał się i wróg... Do ppłk. Maykowskiego podjechał ppłk. Albertow i wszczął z nim cichą rozmowę, prosząc o przepuszczenie na ulicę Gęsią...

Ppłk. Maykowskiemu znany był już z raportu wysłanego na zwiady por. Aksamitowskiego przebieg walki pod arsenałem, mimo to jednak, choć jednym brawurowym atakiem mógł ich zgnieść, zmiażdżyć, przystał na ich przepuszczenie, nie chcąc zamykać sobie drogi do odwrotu w razie przegranej powstania...

Oficerowie-spiskowcy, oszołomieni rozwijającymi się z błyskawiczną szybkością wypadkami, nie oponowali przeciwko temu...

W milczeniu bataljon saperów rozstał się na obydwie strony ulicy i przepuścił wołyńców, miast zmusić ich do złożenia broni...

A gdy wołyńcy przeszli, bataljon ruszył dalej, zajmując stanowiska za ogrodem Krasińskich...

Znajdowały się tam koszary artylerji konnej gwardji... Ppłk. Maykowski, który czuł, że pod naporem wypadków wstąpił na drogę, z której nie mógł się już cofnąć, który rzuconem oficerom po strzale Malczewskiego zapewnieniem:

— I ja pójdę z wami, panowie! — zamknął sobie drogę do odwrotu, podjechał do bramy koszar artylerji i zapytał stojącego tam w pogotowiu towarzysza niedoli, ppłk. Chorzewskiego:

— Podpułkowniku, co pan czynić zamierza?...

— Oczekuję rozkazów wyższej władzy — odrzekł mu tenże: bo ich jeszcze nie ma...

I trwali tak na tem stanowisku, oczekując na rozkazy władzy, której jeszcze nie było...

*

Niewypełnienie ściśle wszystkich szczegółów planu wybuchu, odbiło się fatalnie na przebiegu powstania...

Nie wszyscy zastosowali się do niego, a przez nieobsadzone należycie ulice miasta przemyciała się znakomicie zorganizowana służba łączności wojsk rosyjskich, alarmując je, wzywając i nagłąc do wystąpienia...

Nie mogło już być mowy o zaskoczeniu wroga i własnych dowódców, walka z natury rzeczy przebrać musiała zgoła inny charakter...

Wypełniły w zupełności swój obowiązek dwie kompanje wyborcze 5 p. piechoty linjowej, przecinające ulice Przejazd i Nalewki...

Zatrzymywały one generałów i oficerów rosyjskich, przedzierających się do koszar wojsk swoich... Rozbrajano ich i zabierano do niewoli, lecz nie można było zatrzymać wszystkich, którzy innemi drogami zdążali do celu...

Uczyniono toż samo i z paroma oficerami polskimi, którzy znani byli, jako wrodzy powstaniu, a zagorzali stronnicy moskali...

Powstawało nowe zgoła zagadnienie, czy słabe liczebnie kompanje wyborcze, zdołają stawić opór silniejszym znacznie wrogom?... Czy żołnierze będą słuchać rozkazów oficerów młodszych, gdy staną przed nimi ich przełożeni, którzy napewno od rewolucji odciągać ich będą?...

Toż niedawno dopiero przed stanowiskiem por. Czarneckiego z 5 p. piechoty linjowej, za arsenałem, zjawił się stary, wysłużony generał Blumer, wojak jeszcze Kościuszkowski, opromieniony sławą i męką San-Domingo, który na pierwszy alarm wyruszył pie-

szło na miasto, aby spełnić to, co uważał za swój obowiązek, a co przekreślało odrazu całą dotychczasową jego sławę, rzucało żalobny cień na jego przeszłość...

Dotarłszy do stanowisk 5 pułku i zatrzymawszy się przed stojącym w pogotowiu bojowym posterunkiem, zaczął przemawiać do żołnierzy:

— żołnierze, co czynicie!... Buntujecie się przeciwko władzy prawowitej!... Wróćcie do koszar, uspokójcie się, gdyż po uśmierzeniu rozruchu, wszczętego przez szaleńców i zdrajców Ojczyzny, srogie was kary czekają!...

Lecz żołnierze, rozjątrzeni tem przekonywaniem wtedy, gdy całym sercem rwali się do walki z wrogiem, mając podoficera na czele, runęli na niego z bronią w rękę, raniąc go w brzuch bagnetem...

Porwał się ciężko ranny Blumer, rzucił się do szyldwacha, by wyrwać z rąk jego karabin, by bronić się, by drogo sprzedać życie, gdy naraz rozległy się strzały, i stary wojak, rażony śmiertelnie, runął na ziemię, tuż naprzeciwko okien warty, i zmarł...

Był to pierwszy z liczby wielu generałów polskich, którzy tej nocy pamiętnej życie swe za wierność carowi a sprzeniewierzenie się obowiązkom względem Ojczyzny oddać mieli...

Lecz powstawało pytanie, czy wszyscy żołnierze potrafią się oprzeć rozkazom i przekonywaniom przełożonych i wodzów swoich?... czy przyzwyczajenie do posłuszeństwa, czy karność nie zwycięży w nich miłości do Ojczyzny?... czy wszyscy znajdą w sobie tyle odwagi, tyle męstwa, by już nie podobnie, lecz nieposłuszeństwem odpowiedzieć na nawoływanie do zdradzenia sprawy ojczystej?...

A przytem wyłoniła się potrzeba jak najszybszego skoncentrowania oddziałów polskich pod arsenałem,

by bronić go za wszelką cenę przed spodziewanym atakiem wołyńców...

Te dwa powody właśnie przełamały wreszcie wahanie Zaliwskiego, i skłoniły go do wydania rozkazu podpalenia domów na Dzikiej ulicy, w świetle łuny których toczyły się już pierwsze utarczki pod arsenałem...

Płonące, jak pochodnie, drewniane domy, z których usunięto mieszkańców, nie pozwalając im nawet ratować ubogiego mienia, zalały całe niebo purpurą pożogi, stanowiąc sygnał znacznie większy i widniejszy, niż młyny na Solcu, jakby wzywając gwałtownością swoją wszystkie oddziały spiskowe do jaknajszybszego przybywania pod arsenał, stanowiący główny ośrodek, jakby serce, wszystkich walk tej nocy.

Nie wszystkie jednak kompanje z należących do spisku stawily się tam...

Przybyło ich zaledwie 18, pozostałe albo zachowały się biernie, albo, jak grenadjerzy gwardji, dały się pociągnąć powadze starego żołnierza i kochanego dowódcy, gen. Żymirskiego, i poprowadzone przez niego na Plac Broni, połączyły się tam z gwardją litewską...

A była to siła poważna, gdyż liczyła 10 kompanji...

Wreszcie pod arsenał nadciągnęła i Szkoła Podchorążych, prowadzona przez Wysockiego...

Podchorążowie, z Wysockim i Szległem na czele, szli przez Nowy Świat, przejęci głębokim smutkiem na widok zamykanych spiesznie bram i sklepów, pustki i ciszy domów, odpowiadających milczeniem na ich z głębin serca płynące wezwania:

— Do bronii!... Kto kocha Ojczyznę, Polacy, do bronii!...

Szli, waląc kolbami w pozamykane bramy i okien-

nice domów, jakby w ten sposób chcąc zbudzić serca i sumienia współobywateli, szli, pocieszani słowami Wysockiego:

— Nie lękajcie się, pójdziemy do arsenału, a tam zastaniemy niezawodnie wojsko!...

Lecz zawody dnia tego, niepowodzenia w walkach, odmowa Potockiego, obojętność mieszkańców stolicy, budziły w sercach ich gorycz, lecz nie zniechęcenie.. Niezlomni byli w swem postanowieniu walki, a straszni żądzą złożenia ofiary krwi...

Pochód ich znaczyły krwawe trupy padłych pod ciosami ich bagnatów oficerów rosyjskich — gen. Knorynga, rotm. Dernfelda i Postolskiego, i innych...

I naraz, jakby na skinienie różdżki czarodziejskiej, zmieniać się zaczęła ich sytuacja, siły rosnać... Z bocznych ulic wypływać zaczęły gromadki cywilnych, którzy łączyli się z nimi, zjawiały się grupy żołnierzy...

Siły ich rosły, potężniały, co dodawało im mocy, krzepiło, odpędzało precz ciemne, ponure myśli o śmierci ofiarnej a bezowocnej w nierównej walce...

Gdy tak w mroku wieczornym doszli do kościoła św. Krzyża, spotkali jadącego konno do Belwederu gen. Trębickiego, w towarzystwie kozaka ordynansowego.

Na widok najdzielniejszego, mimo młodego wieku, generała, żołnierza napoleońskiego, wsławionego w czasie bitwy pod Lipskiem, otoczyli go zwartem kołem podchorążowie, błagając:

— Generale, stań na naszym czele! Prowadź nas do walki, do zwycięstwa!...

Lecz generał, podobnie, jak i cała ówczesna starszyzna wojskowa, wierzył tylko w związek z Rosją, w nim tylko widział przyszłość dla Polski... Na błaganie Podchorążych odpowiedział ostro słowami potępienia, wzywając do opamiętania się i posłuszeństwa...

Zakipiała krew w Podchorążych, gdy posłyszeli te słowa z ust generała, którego nietylko szanowali, ale i kochali, lecz zapłonowali nad sobą... Zsadzili go tylko z konia i wzięwszy pod straż prowadzili z sobą, licząc na to, że może widząc ich czyny, widząc, że zwycięstwo towarzyszy powstaniu, da się przekonać, że zbudzi się w nim serce Polaka, że stanie na ich czele...

Szli tak dalej Krakowskiem Przedmieściem, gdy naraz, kiedy byli już przy kościele Karmelitów, ujrzeni dwóch jeźdźców, którzy skręciwszy pod oficynę pałacu Namiestnikowskiego starali się ich niespostrzeżenie wyminąć.

Podbiegli do nich i spytali:

— Kto jedzie?...

Odpowiedzią było im milczenie, jeźdźcy starali się przemknąć dalej, gdy zaś zatrzymano za cugle konia jednego z nich, drugi szybkim ruchem wyrwał z olster pistolet i strzelił, raniąc w nogę podchorążego Kińskiego...

W odpowiedzi posypały się strzały i jeźdźcy runęli na ziemię... Przy blasku pochodni poznano ich: był to minister wojny, gen. Maurycy Hauke, oddany duszą i ciałem słuźalec Konstantego, okryty hańbą w czasie procesu Łukasińskiego i sejmowego... Przy nim zaś leżał wierny wykonawca jego woli, szef sztabu artylerji, pułkownik Filip Meciszewski...

Zwłoki ich pozostawiono na ulicy i ruszono w dalszy pochód...

Na odgłos strzałów, jadący za Haukem i Meciszewskim, gen. Rautenstrauch zawrócił czempredzej konia i skrył się w ulicy Trębackiej.

Wąskim zaułkiem ul. Koziej Podchorążowie przedostali się na ulicę Senatorską... Tu napotkali karete, w której w słabem świetle pochodni błysnął im świet-

ny mundur generalski... Zatrzymano ją i znów padło zapytanie:

— Kto jedzie?...

Padło z wnętrza karety nazwisko, lecz w rozgwazrze nie połyszeli go wyraźnie Podchorążowie... Wydało się im, że brzmi ono „Lewicki“, że jest to ogólnie znieawidzony gubernator rosyjski Warszawy, i wnet w porywczosci swej, w szale zapamiętania, pochylili karabiny, wymierzili, padło kilka strzałów, rozległ się krzyk bólu, spłoszone konie porwały, poniosły, wioząc do mieszkania w pałacu Prymasowskim konającego już sekretarza generalnego Komisji Wojny, gen. Nowickiego, dzielnego żołnierza i prawego Polaka...

Nie wiedząc nawet dobrze, kto padł ofiarą fatalnej ich pomyłki, kogo w porywczosci swej zabili, podążyli Podchorążowie Senatorską do Bielańskiej i dalej ku Długiej...

Tam, na rogu Bielańskiej i Długiej, znów zwrócili się do generała Trębickiego z błagalną prośbą, ażeby stanął na ich czele:

— Generale, prowadź nas! — mówili: wszak widziałeś sam, co spotkało zdrajców!...

Lecz Trębicki, mierząc ich nieustraszonym spojrzeniem orlich oczu, odrzekł twardo, z zimną krwią:

— Nie stanę na waszem czele; jesteście nikczemni, jesteście mordercy!... Możecie mi życie odebrać, ale nigdy nie zmusicie mnie do złamania wiary, zaprzysiężonej monarsze!...

Smagani temi ostremi słowami, wybuchnęli Podchorążowie oburzeniem i zawołali:

— Dziś dla Ojczyzny, chcąc jej przynieść usługę, nie chcesz złamać przysięgi, a pod Lipskiem nie dotrzymałeś tego przyrzeczenia...

Wtedy Trębicki, przejęty jeszcze widzianym niedawno mordem Haukego, Meciszewskiego i Nowickie-

go, po raz wtóry nazwał ich „zbrodniarzami i mordercami“, a obelgi tej nie mogły już zdzierżyć rozpłomienioną walką i oporem jego serca młodzieży... Padły strzały i świetny generał padł martwy w błoto uliczne...

Podchorążowie, pozostawiwszy zwłoki jego na ulicy, podążyli pod arsenał...

Po odparciu ataku wołyńców na arsenał, otaczająca go zwartem koliskiem ludność cywilna, pełen chciwości i pożądania wzrok skierowała na potężne mury i niemniej potężną bramę...

Jak ludzie wygłodzeni długim postem, jak nędzarze, łaknący bogactwa, wpijali w nie oczy, usiłując przebić je spojrzeniem, by w ten sposób dotrzeć do kryjących się po za nimi skarbów...

Od czasu do czasu wyrwało się z czyichś ust głośne przekleństwo, czasem krzyk oburzenia, pięści wszystkich zaciskały się kurczowo, a z oczu tryskać zaczęły płomienie niecierpliwości... Brakło jednak wszystkim impulsu, brakło inicjatywy, by z tem, co każdy w garści trzymał, rzucić się na te mury, pokonać wszystkie przeszkody i zdobyć dostęp do kryjących się za nimi skarbów bezcennych w postaci broni wszelkiego rodzaju...

Lecz skarby Sezamu arsenalowego, pomimo licznych wezwań, nie chciały rozewrzeć się przed nimi, gdyż strzegł ich bacznie smok srogi, pod postacią warty ppor. Janowicza, trzymającego się ściśle planu i poleceń Wysockiego i Zaliwskiego, którzy, wiedząc dobrze, że w samym zaraniu powstania trudno będzie o broń, pragnęli zachować ją w całości dla przyszłych formacyj wojskowych...

Lecz oto wśród ludu, witani radosnymi okrzykami, ukazali się żołnierze-czwartacy, z warty z ul. E-

lektoralnej, za nimi nadciągnął z wartą od Bernardynów ppor. Zajączkowski, a wnet po nim bardzo ruchliwa i czynna tej nocy Szkoła Linjowa Artylerji...

Lud, widząc wśród siebie żołnierzy, nabrał jakby odwagi i otuchy, pewności siebie, i donośnym głosem wykrzykiwać zaczął:

— Dawajcie nam broń!... broni!... broni!...

— Cóż to, wyprowadzono nas na rzeź, — odzywały się pojedyncze głosy: każą nam walczyć z wrogiem, a broni nam nie dają!...

— Z golemi pięściami i kijami każą nam iść na karabiny i armaty! — sarkano...

Padaly coraz ostrzejsze słowa, wzburzenie tłumu rosło, potężniało, tak że zdawało się, że nic go w karbach utrzymać już nie zdoła... że albo rzuci się na arsenał i po stoczeniu walki z broniącą do niego dostępu wartą, zdobędzie go, albo też rozproszy się po mieście, wracając do domostw swoich, a wtedy siły jego i pomoc byłyby dla powstania stracone...

Widząc ten nastrój tłumu, ppor. Zajączkowski podszedł do por. Janowicza, który go spytał:

— Co to znaczy?...

— To ty taki polak jesteś, — odrzekł mu tenże: to nie wiesz hasła?...

Pod naporem tłumu i żołnierzy, warta rozstąpiła się przy bramie, a wtedy dopadło do niej dwóch tęgich barczystych cywilów, zbrojnych w topory rzeźnicze, i rąbać z całej mocy bramę zaczęli...

Z trudem wpijały się topory w potężne, dębowe, nabijane gwoździemi wrota, aż wreszcie wyrąbały w nich wielkie otwory, ziejące na tłum pustką oczodolów...

Odrzucono wtedy topory, odsunięto przez otwory haki, przytrzymujące wrota, i rozwarto je...

Z okrzykiem triumfu i radości tłum rzucił się

przez nie do wnętrza, cisnąć się, tłocząc, napelniając rozgwarem cichy zazwyczaj podwórzec arsenału...

Zebrał swą wartę i rozstawił ją wkoło bramy por. Janowicz, lecz naporowi tłumy sprzeciwić się nie mógł...

Przy świetle pochodni odnaleziono wejście do zbrojowni, odbito drzwi do niej i tłum rozgorączkowany, podniecony, napelniać zaczął sale, nareczami całemi zabierając broń, nietylko dla siebie, ale i dla innych...

I dziwny przy tem wszystkim panował porządek... Tłum płynął jak lawina, mężczyźni i kobiety razem, w milczeniu zabierali broń, i wychodzili, ustępując miejsca innym... Zabierano karabiny, pistolety, pałasze, lance, nie pomijając nawet broni o znaczeniu muzealnym...

A choć do broni palnej brakło skałek i naboji, dawała ona jednak pewności siebie, animuszu, tym masom, które wyszedłszy z arsenału wnet dzielić się poczęły w drobne strumyczki, rozplywając się na wszystkie strony Warszawy — ku placowi Broni, na Muranów, na Plac Bankowy, na Plac Saski, ku Staremu Miastu, na Pragę...

Strumyczki te rozbijały się na pojedyncze grupy, z kilkunastu osób złożone, nad którymi wnet dowództwo obejmowali czynni bardzo tej nocy akademicy, oraz podchorążowie, prowadzili je do stanowisk, zajętych przez wojska Konstantego, atakowali je i nieraz zmuszali do ustąpienia...

A gdy wojska rosyjskie ujrzały przed sobą te zbrojne, ruchliwe i występujące zaczepnie masy ludowe, ogarnął je dziwny lęk... Jakby powstało wśród nich złowrogie widmo zawsze im pamiętnego dnia 17 kwietnia 1794 r., przejmując bezgraniczną trwogą, że straszna rzeź powtórzyć się może...

Jednocześnie zaś w wyobraźni Konstantego i oficerów rosyjskich, nie zdających sobie sprawy z rozmiarów tego ruchu, nasunęły się porównania z krwawymi dniami Paryża i Brukseli, gdzie lud zrewolucjonizowany, rozproszywszy oddziały wojskowe, srogą pomstę brał na swoich ciemieżcach... Cierpła też na nich skóra na samą myśl, że to samo w Warszawie powtórzyć się może...

Zaś dla zrewolucjonizowanych oddziałów wojskowych, te uzbrojone masy ludowe stanowiły sukurs niemały... Przedewszystkiem bowiem sprawiały one wrażenie, że po stronie powstania stoi cała ludność cywilna stolicy, przez co rozszerzał się krąg działań ich, a przytem krzepiło je to moralnie, gdyż nie czuły się tak osamotnione, dodawało im otuchy, zachęcało do akcji zaczepnej wobec wroga, a co najważniejsze, działało agitacyjnie na te pułki, które jeszcze przy boku Konstantego trwały...

*

Pomimo jednak pozornych powodzeń powstańców, sytuacja przedstawiała się rozpaczliwie zarówno dla Polaków, jak i dla Rosjan...

Obydwóm stronom walczącym brakowało wodza, któryby ruch cały ujął w karby, energicznemi zarządzeniami zaprowadził ład i porządek, i ostatecznie przechylił szalę zwycięstwa na jedną stronę...

Konstanty, schroniwszy się po ucieczce z Belwederu do Wierzbna, mimo że miał przy sobie zgromadzoną prawie że całą jazdę rosyjską, choć w samem mieście dysponował znacznemi siłami, choć nawet część pułków polskich, pod wpływem dowódców, opowiedziała się przy nim, przejęty jakimś dziwnym lękiem obawiał się zdobyć na stanowczą decyzję, która by mogła odrazu całe powstanie stłumić i dawny stan rzeczy przywrócić...

Na nalegania generalów rosyjskich, by wydał rozkazy, odpowiadał:

— Polacy wszczęli tę awanturę, niech polacy ją kończą... To ich sprawa wewnętrzna...

Być może, że w głębi duszy jego tkwił jakiś żal marnowania w boju ulicznym tego świetnego wojska polskiego, które dumą jego było i które kochał naprawdę...

Słał też przeciwko powstańcom pułki polskie, pozostające pod wodzą gen. hr. Wincentego Krasińskiego, lecz te poprzestawały tylko na służbie patrolowej, wyłapując i aresztując pojedynczych zbrojnych powstańców wojskowych i cywilnych...

Do wszczynania walki bratobójczej z oddziałami wojskowymi i ludem, nie okazywały najmniejszej chęci...

I po stronie polskiej również brakło wodza... Przez całą tę noc pamiętną poszukiwano go na wszystkie strony i nie znaleziono...

W pierwszym rzędzie zwrócono się do gen. Chłopickiego...

Wieczoru tego znajdował się on na przedstawieniu w teatrze Narodowym na Placu Krasińskich, gdzie grano dnia tego trzy sztuki: „Bankructwo partacza“, „Król migdałowy“ i „Drugi rok czyli i któż winny?“

W czasie pierwszego antraktu przyjechał konno pod teatr ppor. Dobrowolski i wywoławszy za pośrednictwem policjanta jednego z oficerów polskich, obecnego w teatrze, poinformował się u niego, czy jest w teatrze Chłopicki. Otrzymawszy odpowiedź zadawał ją, odjechał...

W jakiś czas potem powrócił z oddziałem 30 żołnierzy, którzy obstawili wszystkie wyjścia z teatru. Rozległo się warczenie bębna na alarm...

Ppor. Dobrowolski, usunąwszy policję rozkazem:

— Policja ustąpi i służby już niema! — wszedł sam na górę, do sali i, stanąwszy na jej progu, zawołał do zaskoczonych tem wszystkim co zaszło widzów:

— Polacy, do broni!... Braci naszych Moskale wyrzynają w Łazienkach!... Nie czas się bawić!... Damy do domów!... Do broni!...

I przedarłszy się do siedzącego w pierwszym rzędzie gen. Chłopickiego, skłonił się przed nim z szacunkiem, i odpiąwszy swój pałasz, podawał mu go, mówiąc:

— Pomagaj nam, generale!... Teraz czas!...

Przez chwilę patrzył na niego Chłopicki swym przenikającym aż do głębi wzrokiem, jakby zbierał myśli, wreszcie odrzekł:

— Zastanów się pan, co pan robisz!...

— Generale, nie czas się już zastanawiać!...

— Dajcie mi spokój, — odpowiedział wreszcie impetycznie Chłopicki: idę spać...

I porwawszy się z krzesła, wypadł z sali, a zbiegłszy ze schodów, otuliwszy się w płaszcz, niezatrzymywany przez nikogo, wyszedł z teatru...

Nie udał się jednak do mieszkania swego, obawiając się, że tam nagabywać go będą o objęcie dowództwa, tylko zaszedł do ppłka Sobieskiego przy Komisji Rządowej Wojny, gdzie całą noc spędził na rozmowie przy fajce z pułk. Schwerinem, Sobieskim i Denhoffem, w brutalnych słowach potępiając wybuch...

— Półgłówki zrobiły burdę, — mówił: którą wszyscy ciężko przypłacić mogą... Mieszać się do tego nie należy... Marzyć o walce z Rosją, która trzema-kroć sto tysiącami żołnierzy zalać nas może, gdy my ledwie pięćdziesiąt tysięcy mieć możemy, jest pomysłem głów, którym piątej kleпки brakuje...

A tymczasem w teatrze, obecni na sali oficerowie

rosyjscy, dla obrony własnej, obawiając się gwałtu, wydobyli szpady. Wtedy Dobrowolski, wskazując im paru szeregowców służbowych, obecnych w teatrze z bronią, zawołał:

— Wszystkich tu obecnych Moskali aresztuję. Schowajcie broń! Wszelki opór jest zbyteczny!...

I podszedł śmiało do nich, a oni, przejęci lękiem, oddawali mu bez protestu szpady i pałasze...

Ocknęła się w tym czasie zdrętwiała z przerażenia publiczność, i tłumnie rzuciła się do wyjścia... Lecz oficer, który pozostał na dole, wstrzymywał falę wychodzących, wołając:

— Stójcie minut parę!... Kto Polak, niech wychodzi!... Polacy, czy nie rozumiecie języka ojczystego! Wychodźcie!...

I wypuszczał widzów jednego za drugim...

Lecz duch rewolucyjny ogarniać już począł wychodzących, gdyż rozległy się wśród nich okrzyki:

— Do arsenału!... Po broń!...

Niezrażony niepowodzeniem z gen. Chłopickim ppor. Dobrowolski, po wyjściu z teatru, dowiedziawszy się, że w kawiarni „Honoratki“ na Miodowej, na koncercie wieczornym, jest gen. Pac, podążył tam ze swoim oddziałem wojska...

Siedział stary, zgarbiony gen. Pac przy szklanicy wina, pykając z fajki i przysłuchując się tonom muzyki, gdy naraz drzwi rozwarły się z trzaskiem i na progu stanął rozgorączkowany, rozplamieniony ppor. Dobrowolski...

I znów powtórzyła się ta sama scena, co w teatrze, — wezwanie obecnych do broni, błaganie generala by objąć zechciał dowództwo...

Popatrzał na niego Pac zinnem, szklistem spojrzeniem z pod nastroszonych gęstych brwi, i odrzekł krótko:

— Nigdy... nigdy...

I zapłaciwszy stojącej w pobliżu dziewczynie za wypite wino, wyszedł z kawiarni wolnym krokiem, przepuszczony przez żołnierzy, i udał się do domu...

Zawiedziony w swych nadziejach ppor. Dobrowolski, powrócił na stanowisko swoje pod kościołem Bernardynów, wiodąc, jako jedyną zdobycz dnia tego, wziętego u „Honoratki“ do niewoli gen. Richtera, brygadjera piechoty rosyjskiej...

W ten sposób dwukrotne wysiłki znalezienia woźdza nie powiodły się...

O tem, ażeby dowództwo mogli objąć Wysocki lub Zaliwski nawet mowy nie było...

Do majora Kazimierza Machnickiego, którego wysuwał Bronikowski, i który zgodził się na objęcie dowództwa, nikt nawet się nie zwracał...

Czwartacy wysuwali kandydaturę ppłk. Tomasza Dietricha z dowództwa głównego, lecz ten odmówił kategorycznie i przezornie wycofał się na Plac Bankowy, do wojsk, nie łączących się z powstaniem...

Wysunięto więc znów projekt zwrócenia się po raz wtóry do gen. St. Potockiego, nie zważając na jego dotychczasową działalność, i mimo to, że na ul. Marszałkowskiej strzelano już do niego parę razy...

Grupa podchorążych, z podchorążym Nyko na czele, podeszła do ul. Rymarskiej, gdzie stał z pół plutonem 2 p. piechoty kpt. Reyman, i wołała:

— Gdzie jest Potocki?...

Reyman poprowadził delegatów z Nyko na czele do mieszkania ministra skarbu, Lubeckiego, gdzie przebywał czasowo Potocki... Stanąwszy przed generalem, Nyko rzekł:

— Generale, prosimy cię, obejmij nad nami dowództwo... Poprowadź nas do boju o wolność Ojczyzny, o wypędzenie wroga... Generale, zginęli już ge-

nerałowie Trębicki, Blumer i Hauke, za to, że ośmielili się stawić opór żądaniom ludu i wojska, że zdradzili Ojczyznę... Niema nikogo godniejszego nad ciebie, ktoby mógł objąć nad nami dowództwo!... W imieniu wojska i ludu błagamy cię o to...

Lecz Potocki zmierzył ich ciężkim, ołowianym wzrokiem i odrzekł:

— Już raz wam oświadczyłem, że nigdy nie obejmę dowództwa nad buntownikami... Upokórzcie się, złóżcie broń, a przyrzekam, że wstawię się za wami do wodza naczelnego...

Nic już nie odrzekli delegaci na te twarde, stanowcze słowa, i wyszli z opuszczonymi smutnie głowami...

A jednak potrzeba wodza uczuwać się dawała coraz dotkliwiej, wobec ruchliwej agitacji wysłanników generała Żymirskiego i pułk. Bogusławskiego, którzy coraz odrywali jakiś oddział, czyniąc dotkliwe szczyrby w szeregach powstańców...

*

W czasie, gdy na ulicach Warszawy rozpoczynał się krwawy bój o wolność, w domu przy ul. Długiej, w niewielkiej dostatnio umeblowanej komnatce, przy łóżu Konającego ojca, siedział Joachim Lelewel...

Suchemi, zaczerwienionemi od długich nocnych czuwań oczyma wpatrywał się w wychudłą, pomarszczoną, jakby z kości słoniowej wyrzeźbioną, otoczoną aureolą siwych włosów, twarz ukochanego ojca, ogłoszony, nieprzytomny prawie z bólu...

Wiedział, czuł, że lada chwila zgaśnie słabiutki płomyk życia, ledwie tlejący w tem wątle, zniszczonym przez wiek i chorobę, cieple, jednak nie mógł się z tem pogodzić, buntował się, mimo całą swą filozofję, przeciwko tym niezbadanym prawom natury, które śmierć jako ostateczny kres wszelkiego istnienia

na świecie dały, całą swą miłującą gorąco ojca duszą...

Nawpół przytomny z bólu, siedział wraz z braćmi, Protem i Janem, czyniąc wszelkie posługi, podając napój, lekarstwa, słuchając ostatnich słów ojca, który, umierając z całą przytomnością, ostatnich rad i wskazówek udzielał synom na dalszą drogę życia...

Wtem, jakby w pobliżu, rozległy się pojedyncze strzały, a wnet potem zbiorowe salwy...

Zabrzęczały szyby w oknach... Porwał się Joachim z miejsca i nasłuchiwać zaczął... On jeden z pośród zebranych rozumiał co te odgłosy znaczą, on jeden wiedział, że to zapalna młodzież polska wraz z ludem porwała za broń, by zerwać haniebne pęta niewoli...

Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że obowiązkiem jego było, jako duchowego przewodnika tej młodzieży, być przy nich, dodawać im otuchy i męstwa, zachęcać do wytrwania, narażać się wraz z nimi na rany i na śmierć nawet...

Lecz gdy spojrział na twarz konającego ojca, serce powstrzymywało go, nie puszczało, obowiązek synowski mówił, że winien być przy nim do ostatniej chwili, że powinien zamknąć mu oczy...

Strzały tymczasem rosły, potężniały, aż wreszcie dosłyszał je nawet i konający starzec, i cichym głosem spytał:

— Co to?... Strzelają?...

— Tak, ojcze, — odrzekł mu Joachim, i nagle, jakby chcąc go uradować w tej ostatniej godzinie życia, jakby chcąc promienniejszą, jaśniejszą uczynić tę straszliwą chwilę konania, dodał śpiesznie: w mieście rewolucja... nasi walczą z Moskalami...

Ożywiły się na chwilę zamglone oczy starca, błysnął w nich jakby żywszy promień, usta przez chwilę poruszały się, jakby szepcząc modlitwę, wreszcie cicho wyrzekły:

— Niech im Bóg błogosławi...

I starzec znów zapadł w odrętwienie, w drzemkę przedśmiertną...

Wtem rozległo się pukanie ciche do drzwi... Na progu stanął służący i znakiem poprosił Joachima, ażeby wyszedł... Udał się za nim, i w jednym z przyległych pokoi znalazł paru podchorążych i akademików...

— Profesorze, — rzekł z nich jeden: powstanie ogarnia coraz szersze masy... bijemy Moskali... Chodź z nami, dodaj otuchy naszym szeregom... Prowadź nas, twórz rząd, który by ster władzy ujął...

Wahanie odbiło się na twarzy Lelewela, gdy pośłyszał to wezwanie do czynu, o którym marzył od lat tyłu, lecz czuł się w tej chwili tak słabym, bezradnym, zdawał sobie znakomicie sprawę, że w podobnym stanie ducha żadnego pożytku sprawie nie mógł by przynieść, tak zresztą pragnął być sam z bólem swoim, że odrzekł im:

— Nie mogę, panowie... Ojciec mój umiera... nie mogę go opuścić...

A tyle było bólu w głosie jego, że zrozumieli go, uszanowali cierpienie jego, i skłoniwszy się, odeszli w milczeniu...

Wrócił Lelewel do łóża ojca, zasiadł przy nim, na próżno jednak usiłował skupić myśli na jednym przedmiocie, na ojcu, z którym niedługo rozstać się miał na wieki.

Lecz dobiegające odgłosy walki, to przycichające, to znów rosnące w siłę, mąciły to jego skupienie, odrywały uwagę...

Tak w pełnym męki oczekiwaniu nadeszła północ, gdy znów rozległo się pukanie do drzwi... Na znak ten podążył Lelewel i w przyległym pokoju ujrzał przed sobą Bronikowskiego, poza którym stali Poniński i Adam Gurowski...

— Profesorze, — rzekł Bronikowski: czekamy na pana... Powstanie rozszerza się, rośnie... Lud połączył się z nami... Chodź zająć się tworzeniem rządu, któryby ster władzy ujął... Zajmij się tem, gdyż powaga nazwiska twego stanowi tę moralną siłę, której się nikt oprzeć nie zdoła, i która doda mocy i powagi powstaniu...

Mętnemi oczyma patrzył na niego Lelewel, mając je jeszcze pełne widzianego przed chwilą straszliwego zmagania się życia ze śmiercią na twarzy ojca, nie rozumiejąc prawie, co do niego mówią...

— Ojciec mój umiera, — wyszeptał bezradnie: nie mogę...

Lecz Bronikowski ujął go za ramię i wstrząsając silnie, rzekł:

— Profesorze... odrzuć od siebie rozpacz... pomnisz, sam mówiłeś, że sprawy prywatne, osobiste, ustąpić muszą przed publicznymi... A teraz przecież Ojczyzna, zrywająca się do wolności, wzywa cię... Czyż głuchym pozostaniesz na to wezwanie?...

Na te słowa gwałtowne wstrząsnął się Lelewel, jakby oprzytomniał... Namyślał się nad czemś przez chwilę, wreszcie rzekł:

— Poczekajcie, panowie, chwilę... Zaraz wrócę...

Przeszedł do sąsiedniego pokoju, nachylił się nad konającym i wyrzekł cicho:

— Ojczyzna... Wzywają mnie... Przyszli po mnie... Ojczyzna...

A starzec odrzekł mu ledwie dosłyszalnym szeptem:

— Idź, synu... Ojczyzna nadewszystko... Niech cię Bóg...

Przypadł Lelewel do ręki ojca, przytulił do niej płonące usta... Starzec na chwilę złożył dłoń na głowie jego, jakby błogosławiąc...

Wstał Lelewel, pożegnał spojrzeniem ojca i wyszedł do oczekujących na niego delegatów...

— Idziemy, panowie! — rzekł krótko.

Wyszli na ulicę, kipiącą życiem i ruchem, pełną przeciągających oddziałów ludu uzbrojonego i wojska, wykrzykujących wezwania do broni, wyśpiewujących pieśni dotąd zakazane, oświetlonych krwawym światłem pochodni...

Lelewel, jakby zbudzony ze snu patrzył na ten obraz rewolucji, o której śnił i marzył... Patrzył na maszerujące razem oddziały ludności cywilnej i wojska, mężczyzn i kobiet, idących pospołu z zapalem do walki o rzecz najświętszą dla każdego, o Ojczyznę...

Na ten widok pragnął zbudzić w sobie energję, wykrzesać zapał, zespolic się z tym tłumem i jak on porwać się do czynu... Lecz gnębiąca go oddawna rozpacz z powodu zbliżającej się śmierci ojca, szereg nocy niespanych, odbierały mu siłę i wolę... Czuł, że wobec przeżywanej tragedji osobistej, zamarło w nim wszystko...

Szedł też z towarzyszami swymi jak automat, podając się ich woli, aż gdy wreszcie doszli do rogu ul. Miodowej, zatrzymał się i spytał:

— Gdzie idziemy?...

Spojrzeli nań zdziwieni. Jakto, sądzili, że on ich poprowadzi, że będzie ich przewodnikiem, że ma już plan gotów i zajmie się, zgodnie z nim, tworzeniem upragnionego i koniecznego rządu, a on ich zapytuje, gdzie idą?...

Stali tak chwilę w niepewności, nie wiedząc, co mu odrzec, wreszcie Bronikowski rzekł:

— Chodźmy do generała Paca... Do niego najbliżej... Popularny jest i dobry patriota, może zgodzi się stanąć na czele rządu...

Poszli na Miodową do pałacu Paca, lecz tam służba oświadczyła im, że generała niema w domu...

Wyszli więc i stanęli bezradnie na ulicy, wreszcie Lelewel, jakby otrząsnąwszy z siebie gnębiący go smutek, rzekł:

— Chodźmy do Wielopolskiego... On tu mieszka, i ma wielki wpływ na Czartoryskiego i Niemcewicza, niech pośredniczy między nimi a nami...

Spojrzeli na niego, zdumieni tym pomysłem, gdyż Czartoryski należał do liczby najbardziej przez niego zwalczanych przeciwników... Nie mówiąc jednak ani słowa udali się do Wielopolskiego, młodego jeszcze, dopiero początkującego dyplomaty i statysty, i przedłożyli mu prośbę o pośrednictwo, lecz tenże wręcz odmówił, mówiąc:

— Nie mogę, panowie, podjąć się tego, gdyż nie wiadomo jeszcze, jaką jest rozciągłość powstania i jakie siły spiskowych...

Próżno go zapewniali, że powstanie ogarnęło cały naród, że wszyscy porwali za broń. Nie wierzył tym ich zapewnieniom, aż wreszcie, nic nie wskórawszy, wyszli, zmrozeni chłodem, choć uprzejmem przyjęciem ich przez młodego, dumnego arystokratę...

I znów stanęli wobec zagadnienia, do kogo się zwrócić, z kim traktować?...

Wreszcie Bronikowski rzekł:

— Chodźmy sami, jeżeli pan, profesorze, uważa to za konieczne, szukać Czartoryskiego, Chłopickiego lub Niemcewicza, i traktować z nimi...

Poszli, a Lelewel, znów jak automat bezwolny, szedł z nimi...

Zaledwie jednak skręcili w ulicę Senatorską, gdy naraz spotkali idącego śpiesznie posła Olrycha Szanieckiego. Zatrzymał on Lelewela i rzekł:

— Panie pośle... Chodź pan ze mną do zamku...

Odbywa się tam zgromadzenie posłów i narada nad utworzeniem rządu...

Nie dopytywał się o nic Lelewel, biernie poszedł za Szanieckim i po chwili znalazł się w zamku, gdzie zebrana nieliczna grupa, z kilku posłów złożona, rozprawiała nad czemś z ożywieniem, spierała się, nie mogąc przyjść do jednego zdania...

Przysłuchiwał się tym obradom Lelewel, nie przeważając niczem ani swego zdania, ani swej woli, nie stawiając żadnych wniosków, nie objawiając żadnej samodzielności, ani energii, choć widać było, że wszyscy oczekują na jego zdanie, jako jednego z najpopularniejszych wśród mas przedstawicieli ludu...

Myślni jednak był on daleko od wszystkiego, cały pochłonięty rozważaniem tylko jednego: co się tam dzieje na Długiej?... czy ojciec żyje jeszcze?...

Skończyły się wreszcie narady, przyczem nie przyszło do porozumienia i nie zapadło żadne postanowienie... Lelewel skorzystał z tego, wymknął się z zamku i podążył czemprowadz na Długą... Gdy wszedł do pokoju ojca, ujrzał gromnice, płonące przy wezwaniu łoża, a brat Prot przywitał go słowami:

— Skończył przed chwilą...

Padł Lelewel na kolana przy łożu ojca i przytulił usta do stygnącej ręki jego, z trudem tłumiąc szarpnięcie mu pierś łąkanie... Po chwili zerwał się, narzucił płaszcz, i jakby otrząsnawszy się z gnębiącej go rozpacz, jakby ocknawszy się z odrętwienia, w jakie go ona wprowadziła, wybiegł na ulicę, by oddać się teraz w zupełności sprawie umiłowanej Ojczyzny...

Gdyż po stracie ojca, Ona mu jedna pozostała...

*

Sytuacja powstańców tymczasem nie przedstawiała się świetnie, pomimo ożywającego ich zapału, podsyconego umiejętnie przez agitację podchorążych

i akademików, krążących licznie po mieście, otaczających oddziały i wykrzykujących:

— Wygramy!... Kraj odbierzemy!... Nie bójcie się!... Nasza wygrana!...

Inni znów powtarzali wieści, że lada chwila przybędzie Chłopiński i obejmie dowództwo, a byli nawet i tacy, co twierdzili, że widziano go już pod arsenałem w ubraniu cywilnym, jak kierował akcją wojska i ludu...

Lecz jednocześnie z tem krążyły i złowrogie pogłoski, rozszerzane przez agentów moskiewskich, o tem, że piechota rosyjska ciągnie już od Placu Broni, a strzelcy konni gwardji od Placu Saskiego, ażeby wziąć w dwa ognie zgromadzonych pod arsenałem. że jazda rosyjska posuwa się Solcem, ażeby przeciąć połączenie z Pragą i przerwać dostawę naboju...

W rosnącym coraz bardziej chaosie wieści, nietylko dezorjentujących, ale i wywołujących panikę, wobec braku wodza, któryby wszystkich ujął w karby i nadał kierunek akcji, bezczynność powstańców, wywołana bezczynnością wojsk rosyjskich, mogła mieć fatalne dla sprawy skutki...

Ażeby więc wyprowadzić wojsko i lud z tej bezczynności, mogącej fatalnie odbić się na ich stanie, Zaliwski postanowił wysłać wyprawę celem zdobycia osławionego więzienia stanu u Karmelitów na Lesznie.

W tym celu wydelegował część kompanji wyborczej 5 p. p. l., za którą pociągnął wnet tłum ludu uzbrojonego...

Komendantem więzienia był osławiony kapitan Niewodowski, surowy służbista, słynny z karności i ścisłego trzymania się przepisów w stosunku do więźniów...

Otrzymałszy od wysłanego wieczorem żandarma

wiadomość, że lud i wojsko zdobywa arsenał, że na ulicach toczą się walki z wojskiem rosyjskiem, zarządził natychmiast ostre pogotowie...

A gdy daleki poszum nadciągającego od strony ul. Długiej wojska i ludu dobiegł do uszu jego, gdy posłyszał coraz bliższe strzały, zawezwał podkomendnego mu porucznika i straż pod broń. Uformowałszy ich w szeregi, przemówił:

— Grenadjerzy!... Może nadchodzi czas, że będziecie mogli dać dowód wierności swojej Najjaśniejszemu Panu i przekonania swego dobroczyńcy, w księcia naczelnego wodza, który był waszym ojcem i opiekunem!... Grenadjerzy!... wszystko będziecie robić, co ja wam rozkażę, a jeśliby który z was nie dopełnił tego, przebiję na miejscu!...

Trzymający wartę w więzieniu grenadjerzy z 4 pułku piechoty, niezbyt chętnie i przychylnie wysłuchali tej przemowy swego dowódcy, całym sercem będąc po stronie powstania, nie zdołali jednak nic odrzec, gdyż pod bramą rozległ się łoskot dobijającego się tłumu i wołania:

— Otworzyć!... hej tam, otworzyć bramę!...

Podszedł do bramy Niewodowski i zapytał:

— Kto wy jesteście i czego tu chcecie?...

W odpowiedzi rozbrzmiał olbrzymi, przepotężny wrzask tłumu:

— Wypuścić akademików!...

— Poddajcie się, bo wszyscy zginiecie!...

— Niech żyje rewolucja!...

— Śmierć tyranom!...

— Hauke zabity!...

— Trębicki zabity!...

— Blumer zabity!...

— Meciszewski zabity!...

— Całe miasto powstało!...

— Lud i wojsko pod bronią!...

I wnet potem znów potężny krzyk tysiąca głosów:

— Otwierać bramę, bo ją wywalimy!...

Lecz Niewodowski nie uląkł się tego, a gdy chwila zapanowała cisza, zawołał donośnym głosem:

— Za starym jestem żołnierzem, abym ludziom takim, jak wy, mógł zawierzyć! bez rozkazu wyższego tego miejsca nie opuszczę!...

W odpowiedzi na te słowa jego dał się słyszeć wrzask tłumu, a wnet potem rozległy się strzały, i jeden z wartowników padł na ziemię, rażony kulą...

Na strzały atakującego tłumu, straż więzienna odpowiedziała strzałami. Nie odstraszyło to jednak oblegających, przeciwnie, podnieciło jeszcze bardziej ich zaciętość... Rozległy się okrzyki:

— Ognia do podpalenia bramy!... Siekier, siekier!... Rąbać bramę!...

I wnet rozległo się szalone, rozgłośnie walenie siekierami w bramę, która pod naporem tłumu i wściekłymi uderzeniami siekier chwiać się zaczęła...

Niewodowski, pomimo znacznej przewagi liczebnej tłumu, nie stracił głowy. Obejrzał się po wielkiej, sklepionej bramie, a ujrawszy stojący w kącie duży, ciężki magiel, zawołał do podkomendnych:

— Brać go, zasunąć nim bramę!...

Na rozkaz dowódcy porwali grenadjerzy magiel, z wielkim wysiłkiem podesunęli go pod samą bramę, tworząc w ten sposób trudną do zdobycia barykadę, z poza której wnet rozpoczęto strzelaninę do tłumu.

Lecz i barykada nie wiele pomóc mogła, wobec naporu i rosnącego z każdą chwilą gniewu i zaciętości tłumu. Nie zważając na sypiące się gęsto kule, oblegający walili siekierami w bramę, tak że powstały już otwory na wylot, grożące lada chwilą wywaleniem słabej zapory, a wtedy i barykada nic by już nie po-

mogła... Tłum, całą masą wpadając z impetem, zmiotł by ją, zarówno jak i broniących jej grenadjerów...

Widząc, że groźna chwila zbliża się coraz bardziej, nieubłagane, pozostawił Niewodowski przy barykadzie część grenadjerów, ażeby jak najdłużej powstrzymywali napór tłumu, sam zaś z resztą oddziału pobiegł na górę, na I piętro, ażeby tam zgromadzić wszystkich więźniów pod strażą w jednej celi, następnie zaś z resztą żołnierzy bronić wejścia na schody...

Wtem padły z ulicy strzały, i w tej chwili biegnący po schodach Niewodowski runął na ziemię, przesyty kulą nawskroś...

Na widok padającego dowódcy, osłabły strzały grenadjerów, broniących barykady, i przy rozgłoszonych okrzykach „hura!“ tłoczącego się tłumu, padła ona, i wnet przedsiónek zapełnili wojskowi i cywilni, rozplomienieni, rozgrzani walką...

Leżącego na ziemi Niewodowskiego otoczył tłum zdobywców, i jeden z akademików spytał go:

— Gdzie są aresztowani?...

— Na górze, — słabym głosem odrzekł Niewodowski...

W jednej chwili zadudniły schody pod nogami setek biegnących na górę, rozległ się łoskot odbijanych siekierami zamków u drzwi cel, radosne okrzyki, i po chwili ukazali się w blasku pochodni triumfalnie prowadzeni, uwolnieni z zamknięcia więźniowie.

Lud wiwatował na ich cześć, a oni szli, wybladli, chwiejni, mrużąc oczy przed rażącym światłem, oszołomieni tem wszystkiem, co zaszło, nierozumiejący jeszcze należycie, jakimu cudowi uwolnienie swe zawdzięczyć mają...

Szli tak po schodach, objaśniani śpiesznie przez prowadzących o wybuchu powstania, gdy naraz zatrzymał ich cichy głos, przerywany jękami bólu. To

Niewodowski, leżąc na ziemi w kałuży krwi własnej, zwracał się do nich z błagalną prośbą... Zatrzymali się przy nim, a on mówił:

— Panowie, wy odchodzicie, a mnie pozostawiacie tu na pastwę pospólstwa... Proszę, abyście wyraźnie zaświadczyli, czyli i wy macie do mnie jaką osobistą pretensję i czy nie starałem się pogodzić powinności oficera z ludzkością?...

Na to płaczliwe błaganie, widząc człowieka ciężko rannego, akademicy Wołowski i Szwajcer, zdjęci litością nad tym, który doniedawna był panem życia ich i śmierci, w porywie miłosierdzia zapominając wszelkich uraz, zwrócili się do tłumu z prośbą, ażeby kapitanowi nic złego nie czyniono, ażeby nie czyhano na jego życie i mienie, gdyż on ze swej strony osładzał ich ciężką dolę, jak tylko mógł...

Wzruszyły się proste serca ludu na tą przemowę. Wnet dwaj tędzy mężczyźni z tłumu podnieśli go i ostrożnie, jak niańki, przenieśli na górę, do kancelarii...

Inni pobiegli po chirurga, któryby rany jego opatrzył...

Mimo to jednak Niewodowski nie mógł się uspokoić i wciąż powtarzał:

— Panowie, nie opuszczajcie mnie!... Gdy tylko odejdziecie, wkrótce żyć przestanę!... Pospólstwo, nie znając wodzy, zamęczyć mnie może rannego...

Aż wreszcie, zdjęci litością akademicy, straż przy nim ustanowili, która go strzec miała przed zemstą tłumu...

A tymczasem lud, prowadząc uwolnionych więźniów, ze śpiewami i okrzykami radości pociągnął z powrotem pod arsenał...

Tak padło tej nocy więzienie u Karmelitów na Lesznie, ta Bastylja rządów moskiewskich w Polsce...

*

A gdy ten pochód triumfalny zbliżał się do Placu Bankowego, dowództwo nad zgromadzonymi na nim wojskami polskimi i rosyjskimi z rozkazu Konstantego obejmował gen. St. Potocki, ażeby tylko jaknajprędzej siłami polskimi, przez oddziaływanie na dowódców, zlikwidować powstanie...

Przybywał z najsilniejszym postanowieniem dokonania tego, wrogo patrząc na tę ruchawkę szalonych, jak ją nazywał, uważając ją za wielce szkodliwą dla Polski...

Po przybyciu na Plac Bankowy Potockiego, tworzyć się tam zaczął ośrodek ruchu przeciwko powstaniu, na którego czele stanął z moskali gen. Fenshave, z Polaków zaś gen. Potocki, Rautenstrauch i minister skarbu Lubecki, z którym pierwszy często w mieszkaniu tajne narady prowadził..

Wzburzenie z obydwóch stron rosło, potężniało, a wojska, zebrane na Placu Bankowym, coraz niechętniej słuchały rozkazów Potockiego i oficerów, natomiast coraz chętniej skłaniały się do podszeptów paru grenadierów-powstańców, którzy do ich szeregów zakraść się zdołali i do powstania namawiali, oraz podchorążych, wykrzykujących głośno:

— Nie będą nami Moskale dowodzić!...

Sytuacja stawała się z każdą chwilą groźniejszą, żołnierze niechętnie już, prawie pod przymusem rozbijali cywilów, tak, że zdawało się, że lada chwila wypowiedzą posłuszeństwo i połączą się z tymi, którzy o wolność walczyli...

Rozumiał całą groźbę tego położenia Potocki i otaczający go generałowie i oficerowie, w zupełności też przyznawali słuszną pełnym gorczy słowom gen. Fenshave'a, który mówił:

— Opuszcza nas w księżę Konstanty wobec niebezpieczeństwa, kiedy za pomocą energicznej szarży mógłby wszystko uratować; waha się i gubi nas

wszystkich z sobą. Oto jakim okazywał się zawsze, obawiającym się wszelkiej odpowiedzialności i tchórzem...

Rozgoryczenie coraz większe ogarniało wiernych Konstantemu wodzów, a gdy przybył z pod Belwedu ru adiutant jego, Władysław hr. Zamoyski, z zapytaniem o sytuację, gen. Potocki odpowiedział mu brutalnie:

— Niech w księżę rzuci całą jazdę w ulice, niech szwadrony kłusem zmiatają, co tylko napotkają, i na wszystkich z kolei punktach się ukazują... Oto co mu pozostaje do zrobienia. Lecz niech nie traci chwili!... Od trzech godzin powinien był to zrobić...

Odjechał z tą odpowiedzią Zamoyski, a gen. Potocki napróżno w dalszym ciągu usiłował zapanować nad sytuacją, już to pertraktując z powstańcami, powstrzymując ich od akcji czynnej, rozmawiając nawet z oficerami i podchorążymi, którzy zwracali się do niego z zupełnym szacunkiem, — lub też utrzymując z rosnącym trudem w korbach posłuszeństwa coraz bardziej burzące się a podległe mu wojska...

Wtem od strony Leszna dobiegł gwar i okrzyki zbliżającego się z pod więzienia Karmelitów tłumu, prowadzącego uwolnionych więźniów...

Ukazał się w krwawym świetle pochodni ten pochód triumfalny...

Gen. Potocki wysunął się naprzód, ażeby przyjrzeć się mu bliżej, gdy naraz wśród uwolnionych więźniów ujrzał akademika Szymańskiego, ku któremu szczególnie pałał nienawiścią, i zakłapiawszy oburzeniem, że widzi go na wolności, zawołał do stojącego za nim żołnierza:

— Łap mi tego łajdaka!...

Posłuszny rozkazowi generała żandarm poskoczył i w oczach podnieconego tłumu ciał szabłą w rękę Szymańskiego...

Trysnęła krew, a widok jej podniecił i tak już wzburzony tłum... Nic go już wstrzymać nie mogło... Jak burza rzucił się na Potockiego i ściągnął go z konia...

Rozległ się pełen przerażenia okrzyk:

— Ratuście!... Generał w niebezpieczeństwie!...

Przedarł się on przez wrzawę i wrzask tłumu i dotarł aż do majora Żywulca... Zrozumiał on grozę sytuacji i wysłał wnet 14 żołnierzy na pomoc generałowi, lecz gdy ci przez zwarty tłum przedrzeć się nie mogli, pchnął w ślad za nimi pluton cały z kpt. Reymanem... Torując sobie drogę uderzeniami kolb i ostrzami bagnetów, wysuwanych coraz, jak żądła, dotarli wreszcie do miejsca, gdzie leżał powalony na ziemię gen. Potocki... Otaczało go kilkunastu ludzi, wrzeszczących i szarpiących mundur jego, a na nim siedział okrakiem drab jakiś w kozuchu...

Odpędzili wnet żołnierze kolbami napastników i pomogli wstać generałowi. Potocki, zmieszany, ponury, w poszarpanym ubraniu, bez szpady i kapelusza, a przytem mocno potłuczony, otoczony przez żołnierzy, udał się do mieszkania min. Lubeckiego, nie odzywając się do nikogo ani słowem...

Czuł tylko, że serce jego zalewa krew gorąca, że kipi w nim coś i wre na myśl o odniesionej przez niego, świetnego generała napoleońskiego, wstawionego w bojach, przedstawiciela czołowej arystokracji, — zniewadze... I poczuł taką nienawiść bezgraniczną do tego motłochu, jak go nazywał, i taką pogardę bezdenną, że gdyby tylko podwładne mu wojska posiadały naboje, wbrew rozkazowi Konstantego, kulami rozpedzić by kazał tę zgraję...

Lecz podkomendni jego naboji nie posiadali...

Rosnąca w nim zaciętość pchała go do coraz gorętszych wystąpień, od których próżno usiłował go powstrzymać gen. Mroziński, prosząc, by zajął sta-

nowisko neutrałne, a major Żywulc wręcz zabronił podawać mu konia...

Wyrwał się im podniecony, szarpał, gdy go powstrzymywać chcieli, miotał obelgi, aż wreszcie głuchy na wszelkie przestrogi i rady, nie zważając na żadne prośby, dosiadł znów konia i pojechał Senatorską aż ku Bielańskiej, gdzie stały dwie kompanje pułku 3 piechoty, otoczone przez gromadę uzbrojonych cywilów...

Na ten widok zawrzała w nim krew, podjechał do nich blisko zupełnie i wzywać począł do odstąpienia od powstania... W miarę słów, widząc obojętność, z jaką wezwania jego przyjmowano, unosił się coraz bardziej, gorączkował, aż wreszcie besztać począł ostatnimi słowy...

Wśród stojących do czasu tego spokojnie powstańców sypiące się gradem obelgi wywołały wrzenie, rozległ się szmer oburzenia, który stopniowo przerodził się we wrzask, aż wreszcie, gdy chlasnął ich słowem specjalnie obelżywem, rozległ się naraz huk strzału...

To któryś z gorętszych powstańców, nie mogąc zdzierżyć potoku sypiących się na nich obelg, odpowiedział strzałem...

Rażony kulą, gen. Potocki zachwiał się na siodle, a przestraszony koń pomknął z nim ul. Senatorską i śmiertelnie rannego zrzucił przed „pałacem Błękitnym“...

Wnet zbiegli się ludzie i nieprzytomnego przeniesiono do mieszkania hr. Łubieńskiego, gdzie w straszliwych mękach skonał dopiero wieczorem, nie mogąc przeżyć doznanej hańby...

Wież o ranieniu gen. Potockiego rozprzegła wszelkie więzy karności wśród grenadierów majora Żywulca, którzy masowo przeszli na stronę powstania i Plac Bankowy stał się jednym z punktów oparcia związkowych..

W tym samym nieomal czasie na Placu Saskim zginął i gen. Siemiątkowski, trzymający tam baczną straż z wiernymi Konstantemu oddziałami, i gorliwie rozbijający cywilnych i wojskowych powstańców.

Padł podobnie jak i Potocki, gdy pełnemi pogardy słowami lżył przechodzących obywateli i akademików.

Dotknięty w swych świętych uczuciach, walczący o swą wolność lud krwawo mścił się za zniewagi...

Po śmierci gen. Siemiątkowskiego powstańcy zajęli cały Plac Saski, z wyjątkiem odwachu „pod Białym Orłem“, w którym straż na czele warty wojskowej trzymał por. Górecki, rozbijający i aresztujący z rozkazu władzy snujących się po przyległych ulicach powstańców...

Otoczył go wnet tłum ludu i wojska, dopominający się zwolnienia aresztowanych, czemu zadość pod naciskiem uczynił... Począł wnet potem paktować z przywódcami o oddanie odwachu, a gdy tłum, nieprzeczuwający niebezpieczeństwa i zdrady, podszedł ufnie pod same barjery, wydał nagle warcie zdraziecki rozkaz strzelania...

Rozległ się przeraźliwy huk salwy, zaświstały kule, rozbrzmiały jęki i krzyki padających rannych i zabitych, a tłum cały w popłochu uciekać zaczął, depcząc i tratując tych, co upadli...

Skorzystał z tego por. Górecki i, uformowawszy swój oddział w kolumnę, torując sobie drogę bagnietem, ruszył przez Mazowiecką i Nowy Świat ku Belwederowi...

Punkt za punktem przechodził w ręce powstańców, a gdy nadszedł świt 30 listopada, całe śródmieście znajdowało się w ich posiadaniu...

Lecz zwycięstwo nie było zupełnem, a triumf przedczesnym...

W Wierzbnie na czele silnych wojsk rosyjskich i niektórych pułków polskich stał w. książę Konstanty...

Przy nim stali wszyscy prawie generałowie i wyżsi oficerowie polscy, przy nim stał rząd...

A na czele powstania nie było ani wodza, ani rządu...

*

Konstanty, oszołomiony w pierwszej chwili gwałtownością napadu na Belweder, przerażony jeszcze myślą o grożącym mu niebezpieczeństwie, którego, jak twierdziła księżna Łowicka, tylko cudem uniknąć zdołał, nawpół przytomny, po ubraniu go przez kamerdynerów, uważając dalszy pobyt w Belwederze za groźny, rozkazał gromadzącym się przy nim wojskom rosyjskim wyruszyć do Wierzbna, gdzie też i sam z żoną i dworem podążył, znajdując schronienie w karczmie przydrożnej...

Tam przez całą noc odbierał raporty o stanie rzeczy w Warszawie, przyjmował generałów polskich i rosyjskich, a na wszelkie nalegania, ażeby wysłał na zbuntowane miasto pułki rosyjskie i zatopiwszy w potokach krwi powstanie, w zarodku je stłumił, odpowiadał stale i krótko:

— Nie!...

A gdy gen. Potocki coraz usilniej nalegał o przysłanie na pomoc jazdy rosyjskiej, odpowiedział gwałtownie:

— To są Rosjanie, a żaden Rosjanin, jeżeli dla własnej obrony nie będzie zmuszony, nie wystrzeli, ani szabli w całej tej sprawie nie dobędzie. Zbrodnia jest po waszej stronie; nie chcę do niej przykładać ręki mojej... To wojsko zasłania mnie od nowego napadu; jeżeli mnie zaatakują, to ustąpimy... Żaden Rosjanin nie wmiecha się do tej sprawy. Polacy ją zaczęli, to sprawa polska, niech sami sobie radzą...

I głuchym pozostał na wszelkie wezwania, bojąc się puścić te ochraniające go pułki moskiewskie na objęte pożarem buntu miasto... W głębinach tchórz-

liwej duszy jego jawiły się krwawe obrazy 17 kwietnia 1794 r., widział już wojska swoje pogromione, wyrżnięte, a siebie zamordowanego przez nienawidzących go szczerze i gorąco powstańców...

Tulił się i krył za plecy swych żołnierzy, obawiając się każdego strzału, każdego głośniejszego okrzyku, a jednocześnie w nikczemnej swej duszyczce snuł plany zemsty, niskiej, podłej, jak i on sam...

Cały drżący z trwogi wydawał jednak rozkazy podkomendnym swoim, by przyprowadzili do obozu jego aresztowanych podchorążych... Zionąc nienawiścią do Wysockiego, którego za sprężynę główną ruchu uważał, wiódł szeptem narady z otaczającymi go szpiegami i słał ich, by skrytobójczym ciosem ze świata go zgładzili... Nie zapomniał o nikim, i słał gońca za gońcem do wołyńców z rozkazami, by opuszczając koszary swoje nie zapomnieli zabrać z sobą najnieszczęśliwszego i największego z męczenników polskich, znienawidzonego przez niego za swój hart i cnotę, majora Łukasińskiego...

I choć ważyły się losy panowania moskiewskiego w Polsce, nie zapomniiał jednak wydać rozkazu, by bosego, w łachmanach, do widma raczej, niż do człowieka podobnego, przykuto łańcuchami do armaty, by uprowadzić go z sobą do Rosji na długie, powolne męki konania w ciemnych wilgotnych kazamatkach Szlisselburga...

Nikczemny, a mściwy tchórz, tem tchórzostwem właśnie ocalił powstanie od upadku w zarodku...

*

Wysocki, po przybyciu ze swoim oddziałem Podchorążych pod arsenał, przeżył niejedną ciężką chwilę wątplenia i męki...

Bezustannie nieomal dręczyły go pytania: czy powstanie ostatecznie weźmie górę, czy zwycięży, czy zdola pociągnąć za sobą masy ludowe, i z zamachu

garstki Podchorążych i wojskowych rozrosnąć się zdola do potęgi powstania całego narodu przeciwko uciskowi najeźdźcy...

Obawy te jednak rozpraszały się stopniowo w miarę napływających ze wszystkich stron wiadomości o rozszerzaniu się koliska buntu, o wzroście sił powstańczych, a najgłówniejsze, o masowym wprost pełnym zapału i radości przyłączaniu się ludu do ruchu...

Otoczony przez wiernych mu i oddanych podchorążych, stojąc przed arsenałem, przyjmował raporty, wydawał polecenia, jako już wódz nie tylko moralny, ale i faktyczny tej zapalnej młodzieży, którą do czynu porwał i poprowadził.

Oczekiwali też wszyscy, że pozyskawszy tej nocy miłość i zaufanie nie tylko wojska, ale i cywilnych, wykorzysta to, że wodzem się ogłosi i dalszy bieg wypadków w ręce swoje ujmie...

Mógł to wyczytać z oczu wszystkich otaczających go, a już wręcz mówili mu to najbliżsi przyjaciele, namawiali do tego, wprost myśl taką mu narzucali...

Lecz on na wszystkie te wezwania głuchym pozostał... Pełen skromności i daleki od żądzdy władzy, rozumiał dobrze, że nazwisko jego, nieznanne do czasu tego nikomu, jak również i niskie stanowisko wojskowe, nie porwą za sobą ani wyższych wojskowych, na których w działaniach wojennych głównie oprzeć się będzie musiał, a którzy, podrażnieni w swej ambicji, zgodnie zresztą z naturą ludzką, lekko go sobie traktować będą i odmówią mu posłuszeństwa, jak również i nie porwą za sobą kraju całego, bez czego o dalszej, aż do ostatecznego zwycięstwa walce nawet marzyć nie można było...

Na wszelkie też nagabywania i namowy odpowiadał stanowczo:

— Wodzem musi być mąż sławny i wojownik zna-

komity, który by urokiem nazwiska swego porwał wszystkich i do walki zwycięskiej poprowadził...

Z przykrością i bólem słuchał składanych mu relacji o niepowodzeniu z Chłopickim, Pacem i innymi kandydatami na wodza.

— Usuwają się, — szeptał ze smutkiem: nie chcą pomódz Ojczyźnie w tych ciężkich chwilach walki o wolność... Uciekają przed odpowiedzialnością, gdy w ciężkiej znalazła się doli i gdy los jej się roztrzyga...

W pewnej chwili wśród otoczenia jego wszczał się zamęt i gwałt... Jeden z Podchorążych poznał w przeciskającym się ku Wysockiemu cywilu szpiega i zatrzymał go... Zrewidowano go natychmiast i znalaziono przy nim broń... Przyciśnięty do muru i zagrożony natychmiastową śmiercią na latarni, wyznał, że z Wierzbna wysłany został by zamordować Wysockiego...

— Obiecano nam sowitą nagrodę za to, — jękał śmiertelnie blady szpieg, z płaczem skamlać o darowanie mu życia...

— A czy jest was więcej? — spytano.

— Jest... Wszystkim sam Konstany obiecał su-te nagrody...

Rozległy się okrzyki oburzenia na nikezemne sposoby, do jakich uciekał się Konstany... Szpiega zaprowadzono do aresztu przy arsenale, a przy Wysockim stanęła wierna, czujna straż...

A pilnowano go tak bacznie, że gdy przybyło doń kilku obywateli z prośbą, by przybył na Ratusz i zwołał Radę miasta, z trudem ich dopuszczono do niego, a gdy wyłuszczyli swą prośbę, otaczający go Podchorążowie niepozwolili na to, wołając:

— Tyś nas wyprowadził, tobie zaufaliśmy i ty ostatni zginiesz!...

I zniewolony temi prośbami, odmówił Wysocki, pozostając przy arsenale...

A gdy zabłyśły pierwsze promienie wschodzącego słońca dn. 30 listopada, Warszawa wolną już była od najeźdźcy...

We wszystkich kościołach rozległo się uroczyste, potężne bicie w dzwony...

Cała prawie ludność stolicy wyległa na ulice, z radością witając, przyjmując i goszcząc zwyciężkich żołnierzy...

Od uniwersytetu zdążał pod arsenał żołnierskim krokiem oddział, złożony z akademików, pod wodzą profesora Krystjana Lach-Szyrmy... A wielu z nich nosiło na sobie ślady walk w nocy toczonych... Witano ich okrzykami i oklaskami...

A na szczycie wieży ratuszowej zajaśniał potężny orzeł biały, otoczony w koło wieszczemi słowami Mickiewicza:

„Witaj jutrzeńko swobody, za tobą zbawienia słońce“...

A jednocześnie na murach miasta pojawiły się odezwy Rady Administracyjnej, odezwy, wydane jeszcze w imieniu... cara i króla Mikołaja I, a wzywające ludność do spokoju, oraz donoszące o powołaniu do jej grona ludzi popularnych wśród mas, jak Czartoryski, Radziwiłł, Kochanowski, Pac, Niemcewicz i Chłopicki...

Tak rozszerzona Rada brała na swe barki obowiązki rządu...

Z różnemi uczuciami przyjmowano te odezwy... Jedni je darli i niszczyli z oburzeniem, inni znów, zwolennicy spokoju i dawnego porządku, witali je z uznaniem, jako zapowiedź nadania formy prawnej powstaniu i ujęcia ruchu w pewne karby...

Dla Wysockiego, jak i dla innych przywódców ruchu odezwy te były niespodzianką... Przyjął też je ze zdumieniem, a zwłaszcza zaskoczony został wia-

domością o utworzeniu rządu bez wiedzy twórców powstania i wbrew ich woli...

Słuchał w skupieniu rozlegających się wokoło niego okrzyków oburzenia, rozmyślając co czynić?...

Wystąpić przeciwko temu narzuconemu rządowi?... — znaczyło rozpętać wojnę domową, która by nie tylko powstanie w niwecz obróciła, ale i kraj cały w otchłani nieszczęścia pogrążyła...

Zresztą w tym rządzie byli tacy ludzie, jak Chłopicki, Czartoryski, Niemcewicz i inni, — ludzie nieskazitelni i godni szacunku, gorący patrjoci, których związkowi sami w naradach na wodzów swoich wysuwali... Oni nie dadzą popsuć sprawy, oni podtrzymają powstanie i naród do zwyciężkiej walki o wolność poprowadzą...

Rozważywszy to wszystko, poddał się faktowi dokonanemu i wszystkich burzących się przeciw niemu do uległości skłonił...

III.

W tym samym nieomal czasie, gdy znękany bólem Leleweł czuwał przy łożu konającego ojca, w wspaniałych apartamentach ministra skarbu, ks. Lubbeckiego, przy ul. Rymarskiej, nie mniej tragiczna rozgrywała się scena...

Przed wieczorem samym skołał ukochany, jedyny syn księcia — ministra... Zdrętwiały z bólu siedział on przy łożu jego, wpatrując się suchemi, bez łez oczyma w umiłowane rysy, na których śmierć powoli, stopniowo, lodowatą swą pieczęć kłaść poczęła...

Naraz przez głuchą, przejmującą ciszę, otaczającą go wkoło, przedarł się jakby odgłos dalekiej wrzawy, jakby strzałów, tak niezwykły wśród spokoju, w jaki zazwyczaj wieczorami dzielnica ta pogrążoną była...

Ocknął się z zadumy książę... zaczął nasłuchiwać... Tak, wyraźnie słyhać strzały i to w pobliżu... w okolicach arsenału...

Machinalnie odwrócił się, ażeby przywołać służącego i posłać go, by się o przyczynach tego alarmu dowiedział, gdy naraz ujrzał w uchylonych drzwiach wykrzywioną lękami i pobladłą twarz sekretarza, zagląającego przez nie i usiłującego w jakikolwiek bądź sposób zwrócić na siebie jego uwagę...

Zrozumiał, że musiało jednak zajść coś bardzo ważnego, kiedy ośmielają się niepokoić go w tak ciężkiej chwili... Wstał, złożył pocałunek na zimnem czole syna, pożegnał go długim spojrzeniem, pełnym bólu, jakby przepraszając, że odejść od niego musi, i skierował się do przyległej komnaty, gdzie przy samych drzwiach stał zmieszany, nieomal nie trzęsący się ze strachu sekretarz...

— Książę panie!... w mieście rewolucja...

Pełnym zdumienia wzrokiem zmierzył go Lubbecki...

Rewolucja?... Skądżeż?... tak nagle, nieoczekiwanie prawie...

Wiedział coprawda, że w mieście istnieje spisek, pracy do wybuchu powstania, że należy do niego wojsko, podchorążowie i młodzież akademicka, znane mu nawet były nazwiska niektórych z przywódców jego, a nawet przed niedawnym czasem zapytywał jednego z nich, Zaliwskiego: co w wojsku słyhać?... Zaliwski zmilczał, lecz z oczu jego, z zachowania się wyczytał, że coś się szykuje, lecz nigdy nie przypuszczał nawet, ażeby wybuch mógł nastąpić tak nagle...

— Co pan mówi? — odrzekł zapytaniem sekretarzowi: skądżeż naraz rewolucja?... to chyba raczej jakaś awantura uliczna...

Nie zdążył na to odpowiedzieć sekretarz, gdy drzwi rozwarły się i do komnaty wpadł raczej, niż wszedł po-

seł Małachowski, wzburzony, podniecony, wołając od progu:

— Rewolucja, mości książę!... W całym mieście aż kipi... Belweder zdobyty!... W. książę podobno zabity!... Podchorążowie pobili ułanów i huzarów i marszerują przez miasto!... Lud i wojsko zdobywają arsenał!...

W Lubeckim w jednej chwili zbudził się mąż stanu, pod wpływem powagi chwili otrząsnął z siebie ból i cierpienie osobiste, jakby zapomniał o nich, i zwracając się do Małachowskiego, rzekł:

— Panie pośle, proszę, opowiedz mi szczegółowo, co dzieje się w mieście...

Małachowski zaczął opowiadać dość bezładnie o buncie podchorążych, o ataku na Belweder, o walkach z ułanami i huzarami, o pochodzie przez miasto, o łączeniu się ludności cywilnej z wojskiem, o zdobywaniu arsenału...

Opowiadanie to, chaotyczne i przejawiskawione, dawało obraz tak pełen zgrozy, że aż mu Lubecki wierzyć nie mógł... Zadał więc jeszcze kilka pytań Małachowskiemu, poczem zwrócił się do sekretarza i spytał:

— Czy jest kto?...

— Pełna poczekalnia...

I wymieniał jedno za drugim nazwiska dygnitarzy cywilnych i wojskowych, posłów, senatorów i obywateli wybitniejszych, przybywających z całego miasta do znakomitego ministra, celem zasięgnięcia wiadomości, oraz otrzymania wskazówek, co dalej czynić należy...

Posłyszawszy nazwiska gen. Stan. Potockiego i Wład. hr. Zamoyskiego, adjutanta Konstantego, rzekł Lubecki:

— Poprosi pan generała i hrabiego do mnie...

Z opowiadań Małachowskiego doszedł do wniosku, że powstanie przybrało charakter poważny, że lekce-

ważyc go nie można, że ogarnęło już prawie całą stolicę... Nie znanem mu było tylko stanowisko Konstantego i zamiary jego na przyszłość...

Wiedział, że szczegóły wszelkie uzyska od Potockiego i Zamoyskiego, wyszedł więc do gabinetu, gdzie wkrótce sekretarz wprowadził obojdwóch...

— Panowie, — rzekł do nich po przywitaniu: powiedzcie mi szczegółowo, co dzieje się w mieście?...

Zdał mu Potocki szczegółową relację z przebiegu wypadków... Wysłuchał z uwagą Lubecki, poczem spytał:

— A Konstanty? Co on zamierza?...

Wzruszył ramionami Potocki i odrzekł porywczo:

— Konstanty?... Drży z trwogi o swoją skórę i boi się wysłać choć jeden pułk rosyjski na miasto...

To krótkie objaśnienie uzupełnił Zamoyski oświadczeniem Konstantego, że cały wybuch uważa za wewnętrzną sprawę Polaków i chce, ażeby oni sami z nią skończyli...

— A kto stoi na czele powstania?...

— Wysocki, Zaliwski i Podchorążowie...

Zdumienie odbiło się w oczach Lubeckiego...

— A rząd?... Czy już utworzyli rząd powstańczy? — spytał.

— Nie, żadnego rządu niema...

— Jeżeli tak, to temu można i trzeba zaradzić! — zawołał jakby mimowoli Lubecki...

Wsparł głowę na rękach i pograżył się w myślach... A więc sytuacja nie była tak groźną, jak się napozór wydawała, rewolucję można było jeszcze opanować i władzę, której nikt nie sprawował, pochwyć w swe ręce bez żadnego ryzyka...

Pod wpływem otrzymanych wiadomości, odzyskał dawną swą energję, w głowie jego snuć się zaczęły myśli, co czynić, ażeby rewolucję zaskoczyć faktem dokonanym i pokierować nią tak, ażeby kraj nietylko od

zguby i zniszczenia uratować, ale i wyciągnąć z niej dla niego korzyści...

Naradzał się jeszcze czas pewien z Potockim i Zamoyskim, poczem, gdy ci udali się na stanowiska swoje, wzywać począł do siebie jednego za drugim dygnitarzy cywilnych i wojskowych, wypytywał ich, badał sytuację, słał gońców na wszystkie strony, ażeby znosili mu wiadomości...

Napływały też one licznie bardzo, a świadczyły o jednym: że powstanie się rozrasta, że przybiera coraz szersze rozmiary i rośnie w moc, oraz że sprzyja temu w pierwszym rzędzie bierne zachowanie się Konstantego...

Obojętnie przyjął wiadomość o śmierci Haukego, Blumera, Trębickiego, Nowickiego i innych...

Wstrząsnęła nim tylko wieść o śmierci Potockiego, z którym tak niedawno narady prowadził, i wtedy zrozumiał, że nadszedł czas działania, że trzeba przystąpić do czynu, któryby rewolucję zahamował i w pożądaną dla niego łóżysko skierował...

Wysłał też wnet pewnych posłów do wszystkich członków Rady Administracyjnej, oraz do ks. Adama Czartoryskiego, ażeby natychmiast stawili się w pałacu Branickich, u min. Sobolewskiego, prezesa tejże Rady...

O północy, pod osłoną majora Żywulca, pokryjomu, w towarzystwie paru pewnych osób, sam się tam udał... Chciał mu towarzyszyć gen. Kossecki, członek Rady, w przebraniu cywilnym, lecz za radą Żywulca wrócił do banku, gdyż wobec podniecenia powstańców niezbyt bezpiecznym było dla niego pokazywać się publicznie...

Z trudem dotarli do przerażonego, truchlejącego z lęku o własne życie Sobolewskiego, u którego zastali już ks. Czartoryskiego, oraz Władysława hr. Zamoyskiego...

Dzielny adjutant wpadł na podobną myśl, jak i Lubecki, i przywiózł wuja swego, ks. Czartoryskiego, do Sobolewskiego, wiedząc, że i Lubecki tam przybędzie, by wspólnie o losach kraju radzili...

— Książę, — zawołał do wchodzącego Sobolewski: co czynić?... radź, ratuj!...

— W tym celu przybywam, — odrzekł mu spokojnie Lubecki: sytuacja jest groźna, lecz nie beznadziejna... Ratunek z niej zawsze znaleźć można. Całe szczęście, że powstańcy nie utworzyli rządu... Trzeba ich uprzędzić i utworzyć rząd...

— Lecz nas nikt słuchać nie zechce, — drżącym z przerażenia głosem rzekł Sobolewski: jesteśmy niepopularni wśród mas i wszyscy się przeciwko nam zwróca...

— To też należy przybrać do Rady takich ludzi, którzyby mieli popularność wśród ludu, którzyby za sobą mogli pociągnąć masy...

— Zgadzam się w zupełności ze zdaniem księcia-ministra, — odezwał się milczący do czasu tego ks. Czartoryski: i o tem samem właśnie rozmawiałem z panem prezesem przed przybyciem księcia...

— Lecz jakżeż możemy przybierać nowych członków Rady, — wtrącił Sobolewski: wszakżeż mianowanie ich stanowi przywilej monarchy... jakżeż możemy wkraczać w atrybucje króla?...

— Niezwykle położenie, w jakim się kraj znajduje, — przerwał mu Lubecki: wymaga też niezwykłych sposobów działania... Zresztą całą odpowiedzialność za skutki, jakie to za sobą pociągnąć może, biore na siebie, byle tylko cel ostateczny osiągnięty został...

— Aprobuję w zupełności plan księcia-ministra, — rzekł ks. Czartoryski: pragnąłbym tylko wiedzieć, kogo książę proponuje zaprosić do Rady?...

— Proponuję gen. Chłopickiego, Paca, Radziwiłła, Niemcewicza i Kochanowskiego... Cieszą się oni

wielką popularnością wśród ludu i z łatwością posłuch wśród niego znajdują...

Zgodził się na ten wybór ks. Czartoryski, a za nim i wzdychający ciągle Sobolewski, wnet też Władysław Zamoyski, który przejawiał wielką czynność, rozesał posłów by sprowadzili wszystkich do pałacu Branickich, do Sobolewskiego...

Sprawa jednak nie okazała się tak łatwą... Jeden z pierwszych przybył Niemcewicz, a i to wysłany do niego Wolicki musiał się uciec do wysadzenia drzwi...

Na wieść o tem, że wzywają go do Rady Administracyjnej, że Ojczyzna go potrzebuje, sędziwy patriota, towarzysz i przyjaciel Kościuszki, porwał futro i wspierany przez prowadzących go, wśród krzyków i strzelaniny, przebył do Sobolewskiego...

Po nim przybyli Pac i Kochanowski, innych, a zwłaszcza Chłopickiego, który się ukrył starannie, by uniknąć nagabywań spiskowców, nie zastano w domu i nigdzie odnaleźć nie było można...

Przedstawił im swój projekt Lubecki, a oni w zupełności go akceptowali... Zabrał wtedy głos Władysław hr. Zamoyski i rzekł:

— Byłoby rzeczą bardzo pożądaną wysłać zaraz delegację do w. księcia Konstantego, ażeby się przekonać o jego usposobieniu i woli...

— Bardzo słusznie, — rzekł Niemcewicz: i proponuje, jako delegatów książąt Czartoryskiego i Lubckiego...

Zgodzili się na to i wnet szykować się do drogi, którą pod osłoną hr. Zamoyskiego odbyć mieli, poczęli...

Ukryci w sprowadzonej na polecenie Zamoyskiego karecie, bez eskorty, gdyż tylko on sam jechał konno na czele, by torować im drogę wśród tłumu wojska i ludu, by ułatwić przebycie placówek rosyjskich, mknęli przez Nowy Świat do placu Trzech Krzyży, za któ-

rzym w Alejach Ujazdowskich stały już pikiety wiernych Konstantemu strzelców konnych, pozostających pod wodzą gen. Wincentego hr. Krasińskiego i gen. Kurnatowskiego...

Zamoyski opowiedział się przy pierwszej placówce, kto jedzie, i kareta podażyła dalej, aż do Mokotowa, gdzie przy rozpalonym na polu ognisku ujrzano stojącego Konstantego, na twarzy którego widocznem jeszcze było przerażenie. Odwracał się on i zamieniał od czasu do czasu urywane zdania z stojącymi tuż za nim generałami Kurutą i Koźlakowym, oraz osobami ze świty...

Opodal, przy innych stosach, tłoczyli się oficerowie różnych szarż, w fantastycznych strojach, w jakich przed rewolucją z domu uciec zdołali...

Zamoyski podszedł do Konstantego i zameldował mu o przybyciu delegatów Rady Administracyjnej... Obejrzał się Konstanty, a zobaczywszy stojących w pobliżu Czartoryskiego i Lubeckiego, zachnął się z oburzeniem, gdyż obydwóch nie cierpiał szczerze.

Opanował się jednak po chwili, i podchodząc do delegatów, spytał ostro i krótko:

— Z czem panowie przybywacie?...

— Przybywamy, — odrzekł mu spokojnie Lubcki: ażeby zapytać waszą cesarską wysokość, czyby nie przedsięwziął kroków energicznych celem uśmierzenia buntu w mieście i nie dopuszczenia do dalszego rozszerzania się go, oraz przywrócenia władzy prawowitej...

Tępemi, jakby ołowianami oczyma popatrzał na niego Konstanty i odrzekł zdaniem, które mu tkwiło od samego początku wypadków w głowie:

— Je ne me mêle de rien... — mnie nic do waszych bijatyk... Polacy wszczęli całą tę awanturę, niech Polacy sami ją kończą... Żołnierz rosyjski z mojego rozkazu nawet cynglem nie ruszy...

I naraz, jakby odzyskując częściowo chociaż utra-

coną energję, obrzucać ich zaczął gradem wymówek i wyrzutów...

Spokojnie, z godnością wysłuchali tego, poczem Lubecki spytał jeszcze raz:

— A więc wasza wysokość stanowczo odmawia użycia siły zbrojnej dla stłumienia buntu?...

— Odmawiam, — rzucił krótko Konstanty.

— A więc w takim razie, — rzekł Lubecki: ponieważ wasza cesarska wysokość wzbrania się wszelkiego użycia władzy, w którą jest przyodziany, rząd widzi się zmuszonym stanąć na czele ruchu i choć spróbować, czy go nie zdoła oświadczyć...

Wzruszenie ramion Konstantego było mu całą odpowiedzią...

Niezrażony tem Lubecki, przybierając jednak mimowoli prawie ton suchy, urzędowy, rzekł jeszcze:

— Czuję się w obowiązku zawiadomić waszą cesarską wysokość, że Rada Administracyjna dla dobra sprawy i celem zdobycia większego wpływu na buntowników, uznała za konieczne rozszerzenie swego składu, a to przez przybranie jako członków gen. Chłopickiego, gen. Paca, ks. Michała Radziwiłła, posłów Niemcewicza i Kochanowskiego...

Lecz i na to oświadczenie nie zareagował żywiej Konstanty, tylko odrzekł:

— Róbcie sobie co chcecie!... Powtarzam, wasza do sprawa wewnętrzna, załatwajcie ją sami, ja się do niej mieszać nie będę...

Poczem, odwróciwszy się do ognia, począł grzać przy nim ręce...

Uważając rozmowę za skończoną, delegaci skłonili się w milczeniu, poczem wsiedli do karety, by czemprędzej wracać do pałacu Branickich i dalej swą akcję prowadzić...

Po zdaniu relacji z przyjęcia przez księcia Kon-

stantego oczekującym na nich członkom Rady, Lubecki rzekł:

— Wobec takiego stanowiska wielkiego księcia, musimy sami zabrać się energicznie do dzieła, ażeby nie dopuścić do zguby kraju... Przedewszystkiem musimy ogłosić odezwę do narodu, wzywającą go do spokoju i posłuszeństwa...

— Musimy ogłosić dwie odezwy, — przerwał mu Czartoryski: jedną, jak mówi książę - minister, wzywającą do uspokojenia, drugą zaś, zawiadamiającą o rozszerzeniu składu Rady Administracyjnej, o przybraniu nowych jej członków... To podziela uspokajając na wzburzone umysły, gdy dowiedzą się, że do Rady weszli ludzie popularni i posłuch wśród mas mający, przez nich samych na wodzów wysuwani...

Zgodzono się na to i Lubecki wnet zabrał się do pisania odezwy.

Po jakimś czasie odczytał ją zebrany. Brzmiała ona:

„Polacy!... równie smutne, jak niespodziewane wypadki wczorajszego wieczora i nocy, spowodowały rząd do przybrania do grona swojego obywateli znanych ze swych zasług i do odezwania się do was. W. Ks. Cesarzewicz wojskom rosyjskim wszelkiego działania wzbronil, gdyż sądzi, że rozdwojone umysły Polaków, Polacy sami skojarzyć powinni. Czy Polak w krwi bratniej ma broczyć broń własną?... Własnym umiarkowaniem jedynie ocalić się możecie od pogrążenia się w przepaści, nad którą stoicie, wróćcie zatem do porządku i spokojności, a wszelkie uniesienia niech przeminą z nocą, która je pokrywała...”

Zapewniała dalej odezwa, wciąż w imieniu cara Mikołaja, że Rada dążyć będzie do zatarcia fatalnych skutków, jakie wybuch mógł wywołać...

Druga odezwa była krótszą znacznie i zawiadamiała o przybraniu nowych członków Rady...

Żaakceptowano treść tych odezw i odesłano je do drukarni, by czem prędzej odbito je i rozrzucono po mieście..

Skończywszy z odezwaniami, Lubecki spytał:

— Czy znaleziono gen. Chłopickiego?

— Nie, — odpowiedziano mu: przepadł bez śladu i mimo wszelkich poszukiwań nigdzie go odnaleźć nie było można..

— To źle, — rzekł Lubecki: generał samą powagą nazwiska swego, połączywszy się z nami, mógłby łatwo uśmierzyć wzburzone namiętności..

Pograżył się potem na chwilę w myślach, wreszcie rzekł:

— Panowie.. Obrady nasze odbywać się muszą w miejscu spokojnem i bezpiecznem, a za takie dotychczasowej siedziby naszej uważać nie można.. Proponuję przeniesienie się nasze do Banku Polskiego, pozostającego pod osłoną wojska i licznych urzędników. W ten sposób i my będziemy bezpieczni, a jednocześnie zabezpieczone zostaną i znaczne fundusze krajowe, tam się znajdujące, gdyż, spodziewam się, tłum na siedzibę rządu uderzyć się nie ośmieli..

Przyznano mu i w tem słuszność i postanowiono przenosiny skutecznie jaknajprędzej, w sposób nie zwracający uwagi ludu, przepelniającego ulice..

Nie udało się to jednak... Zanim zdołano sprowadzić oddział wojskowy, który dla bezpieczeństwa stanowić miał eskortę rządu, upłynęło tyle czasu, że na niebie ukazał się świt..

Gdy dano znać, że eskorta jest gotowa, wyszli członkowie Rady z pałacu Branickich, i otoczeni przez żołnierzy, na czele których stanął gen. Pac, mianowany, do czasu znalezienia się Chłopickiego, wodzem naczelnym, mający przy boku Wąsowicza, jako szefa sztabu, podążyli do Banku Polskiego..

Niezwykły ten pochód zwrócił uwagę tłumu, któ-

ry wiedział już z odezw i krążących po mieście wieści, o zmianie w Rządzie, o wstąpieniu do niego ludzi, których cenił i ceniał, a jednocześnie poznając wśród kroczących w pochodzie dygnitarzy owych ludzi, otoczył ich wkoło i odprowadzał do nowej siedziby...

A przez drogę z ust ludu padały uwagi, to ostre i śmiałe, to rubaszne i swawolne, a wszystkie przeciwko Moskałom i Konstantemu, oraz stronnikom Moskwy skierowane.. A z wszystkich tych uwag tchnęło jedno wielkie pragnienie wolności, chęć nieprzeparata zrzucenia ciężkich dławiających kajdan, wyzwolenia się z jarzma niewoli, gorący patriotyzm ludu, gotowego za wolność umiłowaną dać życie swoje w ofierze...

Uwagi te stanowiły dla członków Rady wspaniałą wskazówkę i naukę, w jakim kierunku szły żądania ludu, czego się w dalszem sprawowaniu rządów trzymać mają, o ile nie chcą na gniew tego ludu zasłużyć...

Nie ulega wątpliwości, że te uwagi tłumu byłyby znacznie ostrzejsze i nieprzyjemniejsze dla członków Rady, gdyby nie nabożna wprost cześć i szacunek, jakie wszyscy uczuwali dla posiwiąłego, pochylonego pod brzemieniem lat Niemcewicza, kroczącego w pierwszym szeregu, tuż obok ks. Adama Czartoryskiego...

Ta czcigodna postać towarzysza Kościuszki, niezłomnego bojownika o wolność narodu, stanowiącego jakby symbol przeszłości i ślubu jej z teraźniejszością, stanowiła hamulec dla wielu i powstrzymywała ich od ostrzejszych wystąpień...

Dotarto wreszcie do gmachu Banku Polskiego, członkowie Rady znikli w drzwiach, które wnet obsadziło wojsko, a zebrany pod Bankiem tłum wydawał przeróżne okrzyki...

Naraz zapanowała cisza i oczy wszystkich skiero-

wały się na balkon pierwszego piętra, tuż nad wejściem do Banku...

Otworzyły się drzwi, wiodące nań, i stanął tam niski, krępy starzec z obnażoną głową, a pierwsze promienie wschodzącego słońca ozłociły siwe jego włosy...

Był to Niemcewicz...

Błękitnemi, dziecinnie dobrymi oczyma powiódł po zebranych tłumie, wpatrującym się w niego z nabożnym skupieniem, w oczekiwaniu tego, co powie, wreszcie rzekł:

— Polacy!... W szlachetnym oburzeniu, nie mogąc znieść dalszego ucisku, schwyciliście za broń, ażeby zrzucić gnębiące was jarzmo... Dopięliście swego, i teraz wszystkie czyny wasze cechować winien spokój i rozważa, gdyż przy nich tylko cel swój osiągnąć zdołamy... Rodacy!... Rząd, który się utworzył, zna powinność swoją, i możecie być pewni, że uczyni wszystko, czego dobro sprawy narodowej wymagać będzie. Wzywam was, rozejdźcie się do domów i zajęć waszych, poddajcie się rozkazom rządu i nie przeszkadzajcie mu w pracach jego...

!milk! Niemcewicz, a odpowiedzią mu był jeden potężny okrzyk:

— Nie paktować z Moskalami!...

A wnet potem drugi, jeszcze potężniejszy:

— Chłopicki wodzem!...

I okrzyk ten rozbrzmiewał tak długo, aż wreszcie sędziwy gen. Pac, dosiadłszy konia, rozjeżdżać zaczął wśród tłumu, zapewniając go, że nikt inny, tylko Chłopicki dowództwo otrzymał, i niebawem je obejmie...

Uspokoilo to wzburzony tłum, który się rozchodzić zaczął. Pac zaś wrócił do Banku, gdzie w wielkiej sali obrad Rada w pełnym już składzie, pod przewodnictwem Lubeckiego, bez Chłopickiego tylko, radzić

poczęła nie nad tem jednak, jakby powstanie rozszerzyć i dalej wszczętą walkę o wolność prowadzić, lecz nad tem, jakby powstanie zlikwidować i kraj do uległości Mikołajowi skłonić, wytargowując tylko od niego z tego powodu pewne, o ile się da największe korzyści...

O Wysockim i jego bohaterskich Termopilanach, którzy ten krwawy bój wszczęli, nikt ani słowem nie wspomniał, nikt ich o zdanie nie pytał, jakby przelana ich krew ofiarna żadnej wartości nie miała, jakby zupełnie nie istnieli...

IV.

Dzień 30 listopada, jasny, słoneczny i mroźny, nie przyniósł bynajmniej uspokojenia w wzburzonym, zrewolucjonizowanym mieście...

Wojska stały na stanowiskach, jakie zajmowały w ciągu nocy, pod bronią, wyczerpane i ustawiczną czujnością, i walką, i głodem...

Ulicami miasta snuły się tłumy ludu uzbrojonego, wznosząc okrzyki, hałasując i grożąc... Sklepy i warsztaty były zamknięte, a wszyscy z niepokojem oczekiwali dalszych wypadków, niepewni tego, co nastąpić może...

Gromady śmiazków podsuwały się do Alei Ujazdowskich i Mokotowa, ba, nawet aż pod Wierzbno, pod same stanowiska wojsk Konstantego, ciekawe, czy nie przedsięwzię on ataku na miasto zrewoltowane, czy nie będzie chciał siłą stłumić rewolucji i dalej swe srogie rządy sprawować...

Wśród tłumu krążyły gromady akademików, podburzając go, podniecając, zachęcając do ekscesów... Zjawily się również jakieś podejrzané figury, które zwykle każda rewolucja, jak szumowiny, na wierzch

wyrzuca, i te, myszkując wśród tłumów, do gwałtów i rabunków podmawiały...

Lecz z tymi wnet sobie radę dano, i schwytawszy na gorącym uczynku wyłamywania drzwi sklepów lub rabunku, doraźną karę im wymierzano, czem innych do tego procederu zniechęcano...

Ozwały się też wnet i zacne serca mieszczek warszawskich, które zrozumiawszy, że żołnierz o głodzie i chłodzie zbyt długo nawet o wolność walczyć nie zdoła, wnet strawę gorącą warzyć zaczęły i z garnkami dobrze wyładowanemi krążyć wśród oddziałów poczęły, przyjęte z gorącym aplauzem przez wiarusów...

Sytuacja z każdą chwilą stawała się poważniejsza, a napięcie ogólne było tak wielkie, że wystarczyłby jeden okrzyk, jeden rozkaz, by tłum ten cały rzucił się na obozowisko Konstantego, co mogłoby się stać powodem straszliwej rzezi...

Lecz rozkazu takiego nie było, więc tłum trwał karny, nieruchomy, acz wzburzony...

Wysocki z Zaliwskim i Urbańskim, obrawszy sobie za kwaterę główną arsenał, trwali również w bezczynności, nie wiedząc doprawdy, co dalej im czynić należy...

Ogłoszona w nocy odezwa Rady Administracyjnej o powołaniu do rządu osób, które oni sami na czołowe stanowiska w powstaniu wysuwali, a zwłaszcza gen. Chłopickiego, który miał objąć dowództwo nad wojskiem, paraliżowała im ruchy, nakładała pęta, których bez szkody dla sprawy zrzucić z siebie nie mogli...

Zadanie ich było bardzo trudne, gdyż prowadzenie dalsze wszczętej w nocy akcji, oznaczałoby wypowiedzenie posłuszeństwa władzy, którą sami na czele ruchu powstańczego postawić pragnęli, oraz złamanie subordynacji wojskowej wobec tego, którego sami na wodza swego przeznaczycyli...

A jednak ze strony owego rządu nic nie wskazy-

wało, że zamierza on dalej rewolucję prowadzić i pogłębiać, że pragnie aż do zwycięstwa walkę o wolność prowadzić...

A przytem ta odezwa... Wydana w imieniu cara, wzywa do spokoju, jakby przekreślając czyn nocy ubiegłej, nie stawia żadnych żądań, żadnego programu, któryby mógł ich pragnące wolności dusze zaspokoić...

I ten rząd, który czynności swoje rozpoczął od narad z Konstantym, który zamknął się, jak w fortecy, w Banku Polskim, i tam w tajemnicy radzi o losach narodu...

Czyżbyż tam, za temi murami, kryto zdradę, która miała przekreślić i wybuch rewolucji, i liczne ofiary...

Nie... Tam jest przecież Czartoryski, Niemcewicz, Pac, Kochanowski, tam ma być Chłopicki, upragniony, umiłowany przez wojsko Chłopicki...

A gdzie oni są, tam zdrady być nie może...

I Wysocki, który w milczeniu wysłuchiwał raportów o sytuacji, który przysłuchiwał się naradom Zaliwskiego i Urbańskiego, nakłaniającym go do dalszej walki i uderzenia na Konstantego, po krótkim zmaganiu się z sobą, odpowiadał twardo, z mocą:

— Nie... musimy trwać cierpliwie... Jest już rząd, jest wódz... im musimy być posłuszni, na ich rozkaz czekać musimy...

I choć wiedział, że to oczekiwanie coraz większą demoralizację wprowadza w szeregi wojska i ludu, posłuszny nakazom karność wojskowej, trwał i czekał na rozkaz wodza...

Rozkazu tego jednak nie było, bo nie było jeszcze i wodza, gdyż pomimo najstaranniejszych poszukiwań gen. Chłopickiego odszukać nie było można...

Nie mniej ciężkie chwile przeżywał książę Lubecki... Pomimo początkowych dość optymistycznych przewidywań, że po ujęciu władzy w ręce uda mu się

rewolucję opanować, spokój w kraju przywrócić i możebnie korzystne warunki dla Polski od cara wytargować, spostrzegając zaczął, że jednak przeliczył się w rachubach swoich, że wszystko jakoś rwało się, rozpadało i pchało kraj cały na drogę niepożądanych wydarzeń...

Pierwszą przeszkodę na drodze do urzeczywistnienia zamierzeń jego stanowiła dziwna bierność Konstantego, który z dziwnym uporem odrzucał wszelkie namowy do czynnego wystąpienia, i z fatalizmem, właściwym ludziom wschodu, czekał, co mu dalej los przyniesie...

Wiedząc też, że siłą rewolucji stłumić nie zdoła, postanowił księżę - minister ująć ster jej w ręce swoje, by kierować nią tak, jak zdaniem jego interes kraju mógł wymagać...

Lecz i tu piętrzyły się przed nim przeszkody, napózór zda się nie do przebycia...

Jednak z pasją, jakby w ten sposób chcąc zagłuszyć i stłumić ból, spowodowany śmiercią syna, zabrał się do pokonywania ich, do zwalczania, byle tylko cel swój osiągnąć...

I podczas gdy członkowie Rady, znużeni i wyczerpani przejściami i wypadkami nocy ubiegłej, rozlokowali się, jak kto mógł, na odpoczynek na sofach i fotelach sali obrad Banku, on w gabinecie swoim pracował zawzięcie, wysłuchując raportów, wydając rozkazy, przyjmując urzędników...

Rozumiejąc dobrze, że ażeby zjednać sobie ludność miasta, trzeba jej schlebiać, czynić ustępstwa, wysłał zaufanego po sędziego Stanisława Węgrzeckiego, h. prezydenta stolicy, jeszcze za czasów Księstwa Warszawskiego, oraz po Piotra hr. Łubieńskiego...

A gdy przybyli, zapytał pierwszego wręcz, czy zgadza się objąć stanowisko prezydenta Warszawy?...

Zawahał się przez chwilę Węgrzecki, lecz gdy Lubecki rzekł:

— Panie prezydencie, wymaga tego od pana Ojczyzna, która w tej chwili w ciężkiej znajduje się potrzebie... Pan masz mir u ludzi i łącznie zdobędziesz posłuszeństwo, przez co wydatnie się przyczynisz do uspokojenia wzburzonych umysłów, — odrzekł:

— Przyjmuję, choć ciężko mi będzie sprostać zadaniu ze względu na mój wiek...

Zwrócił się potem Lubecki do Łubieńskiego i rzekł:

— Panie hrabio, pan musisz zostać pomocnikiem pana prezydenta i obejmiesz komendę nad ludem uzbrojonym, formując z niego straż bezpieczeństwa...

A że to pan Piotr Łubieński, jako były wojskowy, rozumiał dobrze, co to rozkaz znaczy, odrzekł więc bez namysłu i targów odrazu, krótko, po żołniersku:

— Przyjmuję...

Na obydwie powyższe nominacje przystali odrazu członkowie Rady, i podczas gdy spieszenie przygotowywano odpowiednie dokumenty, na balkon wyszedł poseł Kochanowski i oznajmił o tem licznie zgromadzonemu przed Bankiem tłumowi...

Przyjęto to gromkimi okrzykami radości, a gdy Węgrzecki z Łubieńskim wyszli z Banku, by udać się do ratusza dla objęcia swych urzędów, uformował się pochód olbrzymi, który wśród ustawicznych wiwatów odprowadził ich na miejsce...

Podczas gdy na ratuszu odbywała się intronizacja nowych władz, gdy tamże przy stołach urzędników, prowadzących zapisy do straży bezpieczeństwa, zbierały się tłumy chętnych do niesienia tej służby obywatelskiej, Lubecki, po krótkiej naradzie z członkami Rady, powrócił do przerwanej pracy...

A była ona wyteżoną wielce, wobec nawału spraw

i wiadomości różnorodnych, które musiał rozstrzygać i załatwiać natychmiast....

W poczekalni tłoczyły się delegacje i poszczególne osoby, przybywające po wiadomości i wskazówki, nie mając też czasu na ich przyjmowanie, polecił sekretarzowi odprawiać wszystkich, tłumacząc się, że jest bardzo zajęty...

Żachnął się tylko, gdy otrzymał wieści, że na mieście ukazały się trójbarwne rewolucyjne kokardy, że nawet widziano z taką kokardą i Lelewela, ba, że nawet na jednym z domów śródmieścia ukazał się sztandar trójbarwny...

Po krótkiej naradzie z Radą Administracyjną ogłosił oświadczenie, że kokarda biała była i jest w dalszym ciągu kokardą narodową...

Pracował tak z wyteżeniem do południa, gdy naraz wsunął się sekretarz i jakby z odcieniem lęku w głosie, oznajmił szeptem:

— Pan Lelewel...

Porwał się od biurka Lubecki i pełen zdumienia wzrok skierował na niego... A sekretarz powtórzył:

— Pan Lelewel... Jest w poczekalni i prosi o natychmiastowe przyjęcie...

Przez chwilę namyślał się Lubecki... Co mu czynić należy i co może chcieć od niego ten gorący trybun ludu, zawsze tak ostro występujący przeciwko jego, jak je nazywał, „reakcyjnym zamierzeniu“... Wy rzekł wreszcie:

— Niech pan prosi za parę minut do sali obrad...

Gdy sekretarz wyszedł, udał się do przebywających w sali obrad członków Rady Administracyjnej i w krótkich słowach poinformował ich o nieoczekiwanej wizycie...

Wszedł Lelewel... Szczupły, wąty, z słabym rumieńcem na bladej, okolonej ciemnym zarostem twarzy, przez chwilę zatrzymał się na progu, mierząc

wzrokiem zebranych wokół stołu dygnitarzy, którzy w tej chwili los rewolucji i Polski w dłoniach swych dzierżyli... Siedzieli sztywni, surowi, tylko jedni Kochanowski i Małachowski witali go życzliwymi uśmiechami... Niezrażony jednak tem lodowatym przyjęciem podszedł bliżej i zająwszy wskazane mu gestem przez ks. Czartoryskiego krzesło, usiadł w milczeniu...

Przerwało je dopiero zapytanie ks. Czartoryskiego, skierowane do niego, suche, urzędowe:

— Panie pośle, proszę, powiedz, z czym przybywasz do nas?...

Ożywiła się twarz Lelewela, przebiegły przez nią jakby płomień, i mówić zaczął gorąco, z zapalem, jak tylko on w chwilach porywu mówić potrafił:

— Panowie... Przybywam tu do was nie jako wysłannik i współtwórca rewolucji, lecz jedynie w charakterze prywatnym... Przybywam, jako syn tego umęczonego narodu, gorąco macierz swoją miłujący, ażeby od was, którzyście się rządem narodowym ogłosili, dowiedzieć się, jakie są dalsze zamierzenia wasze... Bo wiedźcie, panowie, że wypadki nocy wczorajszej to nie jest samo jedynie przeciw szpiegostwu albo łamaniu konstytucji oburzenie się, ale razem powstanie narodowe, mające na widoku całość Polski w dawnych jej granicach, powstanie, mające na oku również gubernie polskie, jak nadwiślańskie województwa... Panowie, to naród cały powstał w obronie świętych praw swoich i tego jego świętego porywu zmarnować się nie godzi!...

Spokojnie wysłuchali go członkowie Rady, poczem ks. Czartoryski spytał:

— Czegóż więc pan poseł żąda od nas?...

— To nie ja żądam, to naród cały przez usta moje wzywa was, byście niezwłocznie cele i zamiary rewolucji ogłosili....

— A czegóż zatem ta pańska rewolucja żąda? —

zimno wtrącił ks. Lubecki: gdyż jak nam wiadomo przywódcy rozruchów dotychczas żadnego programu nie ogłosili...

Płomiennym wzrokiem obrzucił ich Lelewel, poczem gorączkowo, spiesznie mówić zaczął:

— A czyż panowie nie znacie tych pragnień ludu, które już od lat wielu w sercu każdego prawego Polaka są wyryte?... Czyż obce są wam dążenia całego narodu, który od lat tylu pod obcym jarzmem się ugiął i jęczał?... A więc ja je wam wyliczę: żądamy zniesienia wszelkich uciążliwości, wolności druku, jako jedynej ręką narodów konstytucyjnych; municypalności miast, aby sami obywatele wybierali urzędników, urządzenia gwardji obywatelskich, konstytucyjnego budżetu, ustanowienia sądów przysięgłych, wolności nauczania, obalenia monopolów, oddalenia wszystkich ministrów, jako tych, którzy zdradzili, znieważyli naród i konstytucję...

Przerwał na chwilę wyliczanie tych żądań Lelewel, a z ust gen. Rautenstraucha wyrwało się ironiczne:

— Tylko tyle...

Umilkł jednak naraz pod karcącym spojrzeniem Czartoryskiego i Lubeckiego...

Zapanowało milczenie. Lelewel jakby czekał na odpowiedź, a członkowie Rady porozumiewali się wzrokiem. Wreszcie po chwili Lubecki cichym, spokojnym głosem mówić zaczął:

— Panie pośle... Wszyscy my tu zebrani, jesteśmy niezgorszymi patriotami i nie mniej kochamy Ojczyznę od pana i od tych, których jesteście przedstawicielem. Innymi tylko drogami zdążamy do wspólnego celu... Na samym wstępie zaznaczył pan, panie pośle, że występujesz w charakterze prywatnym, i taką też dlatego udzielić ci możemy odpowiedź... Program nasz, jak ci wiadomo, różni się od programu, przedstawionego przez pana... Możemy jednak znaleźć linję wspól-

ną, po której połączona praca nasza dla dobra Ojczyzny potoczyć by się mogła... Dlatego też, dla bliższego porozumienia się, pragnęlibyśmy bardzo zetknąć się z przywódcami ideowymi rozruchów...

Wysłuchał go Lelewel, poczem spytał krótko:

— Czy to wszystko, co panowie możecie mi oznajmić?...

— Tak, wszystko, — odpowiedział spokojnie Czartoryski...

Zrozumiał Lelewel, że wezwanie jego było daremne, że ludzi tych do czynu zmusić może tylko wypadek nadzwyczajny lub przymus, wstał też i skłonił się w milczeniu zebrany, wyszedł z sali...

A za nim biegły zimne, obojętne spojrzenia ludzi, z których niektórzy, jak Sobolewski, Grabowski, Rautenstrauch i Kossecki nienawidzili go szczerze, jako przedstawiciela tej młodej Polski, „trybuna ludu“, jak go ironicznie nazywali, która stawianiem nowych żądań, wysuwaniem nowych potrzeb, burzyła gmach, do którego przywykli, i który, co najważniejsze, czcili i szanowali...

Jedni tylko Czartoryski i Lubecki patrzeli za nim spokojnie, i nawet życzliwie, a w mądrości swej rozważali, że jednak bez tych właśnie zapaleńców, którzy władzę nad ulicą mieli, którzy władali sercami ludu, dzieła swego dokonać nie zdołają, i rozmyślali nad tem, jakby ich do pracy swej wciągnąć, do wspólnych działań nakłonić, i przez to plan swój, podyktowany nie mniej szczerem i gorącym umiłowaniem Ojczyzny, przeprowadzić...

V.

Maurycy Mochnacki z chwilą wybuchu rewolucji, zdawało się, że zmądry postradał... Rozśpiewało mu się coś w głębinach duszy, serce żywszem zabiło tę-

nem, gdy posłyszał strzały i wrzawę bitewną, gdy zobaczył zapal i ludu i wojska...

Nie stanął w szeregach Belwederczyków, nie zajął miejsca przy boku Termopilan - Podchorążych, lecz znając swój wpływ na masy, wiedząc, że wymową swoją obudzić je zdoła, wstrząsnąć i do czynu podniecić, z grupą przyjaciół na Stare Miasto podążył, by przed oczami ludzi wszelkich fachów, od młodzieży począwszy a na starszych, pamiętających wielki czyn Kilińskiego z przed trzydziestu sześciu lat nieomal, skończywszy, rozsnuwać wielkie płomienne hasła: „równość, wolność, braterstwo“, do których z głębin swego gorejącego bezgranicznym zapalem serca, dorzuczał jeszcze czwarte: „niepodległość“...

Ogarnięty dziwnem natchnieniem i porywem przebiegał od jednej gromady do drugiej, przemawiał tak gorąco, tak prostymi a jednocześnie pełnymi mocy słowami, że przewyższył znacznie starego wygę trybunalskiego, ulubieńca Starego Miasta, wesółka i dowcipnisia, patrona Józefa Kozłowskiego, starego konspiratora, cieszącego się wielką popularnością wśród tej warstwy mieszkańców Warszawy...

Natchnione słowa Mochnackiego, jakby przepojone mistycyzmem pełnym prostoty, trafiały do dusz i serc tych prostaczków, kochających gorąco i szczerze Ojczyznę, przekonywały ich tak dalece, że chwyтали, co co kto miał pod ręką i biegli, by walczyć o tę Polskę, o tę wolność, którą im w tak czarownych barwach malował...

A jemu na widok tego zapalu, tych zastępów zbrojnego ludu, dążących pod arsenał, serce rosło z radości i łzy wzruszenia z oczu płynęły...

Oddział za oddziałem dążyły na pomoc walczącemu wojsku, a on niezmordowanie przebiegał przez rozbudzone gwarem rewolucyjnym ulice miasta i głosił wszędzie to wielkie, płomienne wezwanie do czynu, do

boju, który miał wolność wszystkim uciemżonym w ostatecznym przynieść wyniku...

Zdawało mu się, że skrzydła u ramion mu wyrosły, że ocknął się wreszcie z długiego uspienia, że odnalazł siebie... Chciwie też chwytał wszelkie wieści, nadchodzące z terenów objętych walką, a choć nie wszystkie świadczyły o zwycięskim pochodzie naprzód rewolucji, — poczesał się, że jednak w końcu wszystko dobry obrót weźmie i słuszna, święta sprawa, jak ją nazywał, zatriumfuje...

W gorączce i podnieceniu ciągłym ruchem, wpadał pod arsenał, zamieniał kilka słów z Wysockim lub Zaliwskim, i znów mknął dalej, by zachęcać do walki, własnym nieraz przykładem wskazując, jak ją prowadzić należy...

Gorącą, impulsywną naturę jego drażniło to wahające, niepewne stanowisko przywódców rewolucji... Pragnąłby w jednym potężnym ataku rzucić te masy ludzi i wojska na zastępy moskiewskie, by zetrzeć je, Konstantego wziąć do niewoli, a potem ogłosiwszy rewolucję w całym kraju, dążyć przeciwko Mikołajowi, by starłszy się z nim, po zwycięstwie, warunki swoje mu dyktował...

Lecz trzeźwy rozum hamował te zapędy, gdyż wiedział jednocześnie, że wojsko go nie posłucha, że i lud nie wszystek za nim pójdzie, a cóż mógł począć sam z garścią, któraby przy nim stanęła?...

Irytował się też i burzył i coraz wyraźniej widział błąd wielki, jaki twórcy rewolucji popełnili, nie postarawszy się zawczasu ani o rząd, ani o wodza, któryby akcją całą pokierował...

Z ulgą też pewną, choć nie pozbawioną zwątpienia, przyjął wiadomość, że Bronikowskiemu udało się oderwać Lelewela od łoża umierającego ojca i nakłonić do zajęcia się poszukiwaniem rządu...

Nie czując znużenia, prowadził swą akcję dalej,

gdy naraz, o świtaniu, już, wpadła mu w ręce odezwa Rady Administracyjnej...

Podziałała na niego, jak strumień zimnej wody... Przeczuł w niej subtelną, dyplomatyczną grę Lubeckiego, przejrzał ją całą, i aż wstrząsnął się z oburzenia...

Podniecony, pobiegł do Wysockiego i Zaliwskiego, i pokazując im odezwę, pytał gorączkowo:

— Czytaliście?... rozumiecie, co to znaczy?... Co wy o tem sądzicie?...

— Czytałem, — odrzekł mu spokojnie Wysocki: Rada Administracyjna tworzy rząd, do którego powołała ludzi, których i my chcieliśmy do rządu powołać...

— Ależ to zdrada! — wołał Mochnacki: to tylko parawan, za którym Lubecki ze swoimi stronnikami chce zaprzepaścić sprawę rewolucji, i nowo nas w jarzmo moskiewskie oddać!...

— Są tam Czartoryski, Niemcewicz, Pac, Kochanowski i Chłopicki, — odrzekł mu z niezmaconym spokojem Wysocki: a ci do zaprzepaszczenia sprawy, do zdrady nie dopuszczają...

— Lecz do tego dopuścić nie można, — pienił się Mochnacki: oni ich przekabacą, przeciągną na swoją stronę; trzeba tworzyć inny rząd, rewolucyjny, któryby się im przeciwstawił, któryby rewolucję dalej poprowadził...

— Rząd już jest i wódz już jest, — odrzekł mu Wysocki: Chłopickiego wszyscy chcieliśmy mieć wodzem, i teraz na jego rozkazy czekać musimy...

Zrozumiał Mochnacki, że nic tu nie poradzi, że nie zachwieje niczem tej wiary żołnierza w wodza, i nic już nie mówiąc, odszedł...

Lecz w głębi duszy czuł, rozumiał, że tak tej sprawy zostawić nie można, że biernie oczekiwać na dalszy bieg wypadków nie wolno, że trzeba działać, i to jak najszybciej, by ratować rewolucję od zatracenia,

by nie pozwolić na zaprzepaszczenie tego porywu wojska i ludu...

Wiedział dobrze, że ma do czynienia z potężnym przeciwnikiem i jasno zdawał sobie sprawę, że w walce wręcz nie odniesie zwycięstwa, że trzeba się tu uciec do chytrności, i sile zorganizowanej przeciwników rewolucji, przeciwstawić również potężną siłę jej zwolenników...

I w jednej chwili opadła go gorączka i poryw, a chłodno, trzeźwo, z całą rozwagą zastanawiać się począł nad tem, co teraz czynić należy...

Wpadł na chwilę do domu i tam snuł plan jeden za drugim, poczem obiegać miasto począł, odszukując i zbierając przyjaciół, którym cały plan swój w gorących, przekonywujących przedstawiał słowach...

Plan jego był prosty... Nie mogąc utworzyć narazie rządu, by nie wywoływać wojny domowej, pragnął stworzyć ośrodek rewolucyjny, któryby stanowiskiem swem nieprzejednanem nie pozwolił uzurpacyjnemu rządowi, jak go nazywał, na żadne posunięcia, któreby szkodę sprawie przynieść mogły, a który, mając za sobą poparcie mas, w odpowiedniej chwili mógłby władzę w ręce swoje ująć i dalszym biegiem wypadków pokierować...

Znalazłszy w gronie przyjaciół swoich i zwolenników poparcie i posłuch, postanowił założyć zbrojny klub rewolucyjny, gromadzący jak najliczniejsze koła ze wszystkich warstw społeczeństwa...

Na tych przygotowaniach zeszedł mu cały dzień 30 listopada...

W dniu 1 grudnia w stolicy pozornie przywrócony został spokój... Pootwierano sklepy, życie zdawało się wracać do dawnych norm, ustały hałaśliwe strzały naoślep i na wiwat, dawane na ulicach... Pozostałe tylko gdzieniegdzie barykady, wojska rozstawione przy gmachach państwowych, snujące się oddziały

straży bezpieczeństwa oraz zbrojnych akademików pod wodzą prof. Lach-Szyrmy, grupy ludzi, kupiących się przy rozklejonych odezwach Rady Administracyjnej, zamknięte kościoły, — świadczyły jednak, że w mieście coś się dzieje, że życie wyszło z normalnego łożyska, i że wybuchła w przeddzień wulka nie da się tak prędko uspokoić, że zmienił się tylko jej system, że trwa ona dalej i toczy się z rosnącą coraz bardziej zaciętością...

Przewidywania bowiem ks. Lubeckiego, że jednak planu jego nie uda się przeprowadzić tak gładko i spokojnie, że napotka opór w szerokich warstwach narodu, spełniły się rychło bardzo...

Nie pomogło mu nic prawie zjawienie się wreszcie tak gorliwie poszukiwanego gen. Chłopickiego... Dopiero w dn. 1 grudnia zdecydował się on wyjść z ukrycia swego i przybyć na posiedzenie Rady Administracyjnej...

Zjawił się tam zimny, obojętny, a choć witano go z zapałem i entuzjazmem, jak zbawcę Ojczyzny, nie rozgrzał się ani na chwilę tym ogniem prawdziwego ducha państwotycznego, który płonął wokoło, ani się przejął energją rozpacz, jaką mógł wyczytać w oczach przejących się przed nim na baczność oficerów i podchorążych...

Z miną obojętną, jakby znudzoną, wysłuchał relacji o przebiegu dotychczasowych prac Rady, dając do zrozumienia zupełnie wyraźnie, że ofiarowane sobie dowództwo nad wojskiem przyjmuje raczej z uległości dla władzy, niż z przekonania...

W oczach jego świeciła pogarda i lekceważenie dla tej ruchawki wojska i motłochu, a w każdym słowie nieomal przebijał brak wiary w możność urzeczywistnienia celów rewolucji...

Każde wreszcie posunięcie jego zdradzało tę niewiarę, podkreślało ją, tak więc na ogłoszonej o obje-

ciu przez niego dowództwa odezwie podpisał się nie jako wódz naczelny wojsk polskich, lecz z kurtuazji dla Konstantego, jako generał polski; następnie zajął się ze szczególną gorliwością losem jeńców rosyjskich, wziętych do niewoli w czasie walk w nocy 29 listopada, generałów: Essakowa, Richtena, Engelmana i Langego, sam z odwachu pod arsenałem przeprowadził ich na zamek, gdzie kazał wszelkimi otoczyć wygodami i wyraźnie przy każdej sposobności zaznaczał i podkreślał, że rewolucję uważa za wybryk gromady niepoczytalnych szaleńców, że rychło upadnie ona sama przez się i że dążyć trzeba do przywrócenia normalnego stanu rzeczy...

A w tym czasie w sali sejmowej w Zamku zebrali się obecni w Warszawie posłowie w liczbie osiemnastu i naradzali się nad sytuacją, wytworzoną przez wypadki nocy 29 listopada...

Obrazy prowadzono poważnie i spokojnie, z troską głęboką o los kraju, a duch wśród zebranych panował zgoła inny, niż na posiedzeniach Rady Administracyjnej... Tu nie myślano nawet o powrocie do legalizmu, o tem, ażeby możebnie prędko zlikwidować rewolucję i jej skutki, a przeciwnie, o tem, ażeby ją pogłębić, rozszerzyć na kraj cały i do zwyciężkiego końca doprowadzić...

Wszystkie przemówienia posłów przepojone były tą troską, a ze szczególną uwagą słuchano Lelewela, który, otrząsnawszy z siebie żal i smutek po śmierci ojca, w zupełności oddał się umiłowanej sprawie...

Przemawiał spokojnie i rzeczowo:

— Panowie, — mówił: — z chwilą wybuchu rewolucji, gdy lud cały i wojsko schwytały za broń, by zrzucić znieprawione jarzmo obcych tyranów, by wywalczyć narodowi wolność, która przez lat tyle deptaną była, nie wolno nam siedzieć beczynnie, nie wolno przeciwdziałać temu świętemu porywowi, nie

wolno gasić słońca, które jutrzeńką swoją daleką jeszcze zorzę wolności wskazuje... Rada Administracyjna ogłosiła się rządem, uczyniła to nielegalnie, lecz nie czas teraz zwalczać ją, gdyż mogłoby to pociągnąć za sobą fatalne dla sprawy skutki... Pierwsze jednak posunięcia jej wskazują wyraźnie, że nie myśli ona o dalszem prowadzeniu rewolucji, że, przeciwnie, zamysła ona o jej likwidacji, o możebnie śpiesznem usunięciu i zatarciu jej skutków... Do tego dopuścić nam nie wolno... Należą do niej teraz ludzie zacni i szanowani, którzy powagą nazwisk swoich dają pewność, że sprawy ludu nie zaprzepaszczą, że nie dadzą jej na marne... Lecz za nimi kryją się ludzie inni, o wręcz odmiennych przekonaniach, i oni nimi kierują. Usunięcia ich musimy domagać się stanowczo...

Z aplauzem przyjęto jego słowa i po krótkiej naradzie uchwalono zwrócić się do Rady przez specjalną delegację i zanieść jej opinię swoją i zadania, które w następujących streszczono punktach:

- 1) z odezwy przez Radę Administracyjną wydanej, powszechne nieukontentowanie powstało;
- 2) działania Rady są zbyt powolne;
- 3) nie są w duchu rewolucyjnym powzięte;
- 4) w Radzie zasiadają osoby, które nie posiadają zaufania w narodzie;
- 5) jest potrzebne zwołanie Sejmu;
- 6) Rada do grona swojego powinna przybrać członków Izby poselskiej, bo oni naród reprezentują;
- 7) należy obmyślić żywność dla wojska.

Wybrano też jednocześnie deputację, która z żądaniami temi przed Radą stanąć miała i jej je przedstawić. W skład jej weszli: Lelewel, Szaniecki, Franciszek Sołtyk, Ziemięcki i Leon Dembowski.

Wybrani przyjęli wybór, tylko Lelewel zwrócił się do Dembowskiego i rzekł:

— Pana kasztelana Dembowskiego prosimy, ażeby zechciał objąć przewodnictwo delegacji...

Zgodził się na to i delegacja udała się z zamku do Banku Polskiego...

Odbywała tam właśnie posiedzenie Rada Administracyjna, gdy dano jej znać o przybyciu delegacji posłów sejmowych... Wywołało to pewną konsternację, wreszcie zdecydowano, by kasztelan Kochanowski przyjął, a następnie wprowadził delegację...

Kochanowski, który był teściem Dembowskiego i w zupełności podzielał jego poglądy, po krótkich wyjaśnieniach wprowadził przybyłych do sali...

W krótkich słowach wyjaśnił Dembowski cel przybycia delegacji i odczytał punkt za punktem żądania tejże...

Gdy doszedł do punktu, domagającego się usunięcia osób, nie posiadających zaufania narodu, Radę, która z całą uprzejmością słuchała przemowy i żądań, ogarnęło zmieszanie...

Lubecki natychmiast zorientował się w sytuacji i domyślił się, o kim może być mowa. Wiedział dobrze, że popularnością się nie cieszy i zrozumiał, że tu dyplomatyczne prowadzenie sprawy nie wyda pożądaných owoców, że tu trzeba działać wręcz i odrazu wyjaśnić sprawę...

Gdy też Dembowski skończył odczytywanie żądań, zapytał wprost:

— Pozwólcie, panowie, że poproszę o wyjaśnienie, których to członków Rady macie na myśli, mówiąc o osobach, nie posiadających zaufania narodu?...

A wtedy wysunął się naprzód Franciszek Sołtyk i odrzekł, stawiając odrazu kwestję całą na ostrzu noża:

— Książę pierwszy zaufania tego nie posiadasz!... Ta śmiała, rzucona prosto w twarz odpowiedź, wywarła olbrzymie wrażenie...

Ks. Lubecki zamknął oczy, wsparł się o tył fotela i tak siedział przez chwilę, jakby zbierając myśli, co ma na ten zuchwały i ostry zarzut odpowiedzieć...

Zabolał go on srodze, zwłaszcza, że stawiali go posłowie, ludzie gorąco kraj swój miłujący i w zupełności mu oddani... Jak błyskawice przebiegały mu w myśli wspomnienia tego, co uczynił dla kraju, rozważał w głębi sumienia swego, czy uczynił kiedy cośkolwiek, coby szkodę Polsce przynieść mogło, wreszcie wstał i głosem drżącym ze wzruszenia mówić zaczął:

— Panowie... Wszystko co czyniłem dotychczas, czyniłem z głęboką troską o kraj i losy jego... Dobro narodu miałem tylko na względzie i ono jedynie przewodnikiem moim w czynach wszystkich było... Jeżeli jednak czyny moje dotychczasowe nie przekonały narodu o czystości zamiarów moich, gotów jestem natychmiast ustąpić z rządu...

Ta odpowiedź, to wzruszenie zwykle spokojnego księcia - ministra, udzieliło się kolegom jego... Gdy skończył Lubecki, wstał sędziwy Niemcewicz i drżącym ze wzruszenia głosem rzekł, zwracając się do posłów:

— Panowie... Książę Lubecki jest tak dobrze myślącym Polakiem, jak my wszyscy; nie żądajcie oddania go z Rady, bo jeżeli Lubecki Radę opuści, natenczas jaśnie oświecony książę Czartoryski i ja w Radzie także zasiadać nie będziemy...

A po Niemcewiczu przemówił wnet ks. Czartoryski, a za nim i inni członkowie Rady, a wszyscy w stanowczych słowach wyrażali się o nieskazitelnym patriotyzmie Lubeckiego, o jego czynach, których świadkami byli, o bezgranicznem zaufaniu, jakie mają do niego, aż w końcu wreszcie oświadczyli, że w razie ustąpienia Lubeckiego sami się od wszystkiego usuną, gdyż pracy wogóle bez niego nie rozumieją...

Delegaci słuchali tego zdumieni, zaskoczeni, gdyż nie spodziewali się zupełnie podobnej odpowiedzi...

Wiedzieli dobrze, że w całym kraju minister nie cieszył się sympatją, że posiadał daleko więcej przeciwników, niż zwolenników, że uważany za wiernego sługę Mikołaja, patriotyzm swój cały skoncentrował około podniesienia dobrobytu w Polsce, obojętnie patrząc na gwałcenie konstytucji przez Konstantego i Nowosilcowa, ba, nawet dopomagając im do tego, biorąc udział w komisji, która ograniczyła jawność obrad sejmowych...

Prawda, położył znaczne zasługi dla kraju, wyszukując nowe źródła bogactw, lecz sposób bezwzględny w jaki to czynił, jednał mu raczej wrogów, niż przyjaciół...

Zdawało się też delegacji, że wniosek usunięcia go nie spotka sprzeciwów, a tu naraz i Czartoryski, i Niemcewicz, i Pac, i Kochanowski, oświadczają jednogłośnie:

— Nie, jeżeli on ustąpi, to i my ustępujemy...

I deputacja, posiadając, jak to szlachta polska, miękkie serca, wzruszyła się tą jednomyślnością i odrzekła:

— Dobrze, niech ks. Lubecki pozostanie, ale inne życzenia sejmu spełnione być muszą...

Nie przejrżeli w ufności swej myśli większości członków Rady, którzy wobec sytuacji niepewnej, i wobec tego, że ks. Lubecki cieszył się zaufaniem cara Mikołaja i miał wielkie wpływy w Petersburgu, woleli na wszelki wypadek zatrzymać go na stanowisku... A przytem, tego to głowa, wie, jak sobie radzić we wszystkich sprawach, rzutki, przedsiębiorczy, — taki człowiek mało że jest potrzebny, on jest niezbędny...

Przyjęli też delegaci dobrodusznie oświadczenie ks. Czartoryskiego, że wszystkie żądania delegacji sej-

mowej spełnione zostaną, że do składu rządu, zgodnie z życzeniem Izby poselskiej, powołani zostaną jej członkowie...

Opuściła deputacja salę posiedzeń, a rząd wnet zaczął się namyślać, co ma uczynić z przedstawionymi żądaniami, ażeby im w jak najmniejszym stopniu zaszkodzić...

Kasztelan Kochanowski, człowiek prawy i daleki od dyplomatycznych wykrętów, oświadczył wprost:

— Nadzwyczajne poruszenie umysłów, nadzwyczajnych wymaga środków, i najdogodniej w obecnych okolicznościach byłoby, iżby z pomiędzy członków Izby poselskiej trzy osoby ten sam odebrały zaszczyt, jaki członków Senatu, przez Radę wybranych, spotkał, i wezwane zostały do zasiadania w Radzie...

Skrzywił się na to proste rozwiązanie kwestji ks. Lubecki, który zdążył odzyskać równowagę i przemyślał nad sposobem wykręcenia się od wypełnienia obietnic. Odrzekł też spokojnie, z namysłem:

— Panowie, przede wszystkim na to baczyć potrzeba, ażeby rząd w miejsce rządzenia nie stał się rządzonym. Deputacja Senatu i Izby poselskiej dopiero wysłuchana, dwa głównie przedstawiła żądania: 1) aby niektórzy członkowie Rady z niej usunięci zostali, 2) aby Izby zwołano. Co do 1-go, gdy sama deputacja nie wymieniła, kogo chce mieć usuniętym, i oświadczyła, iż każdy sam się winien ocenić, Rada także nie może, jak tylko własnemu członków ją składających ocenieniu rzecz tę zostawić... Co do 2-go, nie nadszedł jeszcze czas, bo król nie zwołał, zwoływania sejmu, bo bardziej naglące zło o zarządzenie woła. Zapobiec natomiast potrzeba, aby posiedzenia Rady, słuchaniem pojedynczych żądań przerywane nie były, Rada powinna działać nie tak, aby chwilowym wymaganiom dogodzić, lecz aby spokojność i prawo, byt i swobodę kraju zapewnić... Potrzeba, aby się Rada

za nieustającą uznała; aby w nocy nawet miejsca posiedzeń jej nie opuszczali członkowie. Do czegoż dążyć powinniśmy?... do tego, co jest podobnem. Otóż, aby co bądź otrzymać, trzeba mieć siłę. Siła jest w wojsku, w gwardji naród formuje się dopiero. Wojsko tyle, ile go teraz, jest niedostateczne. Trzeba więcej sprowadzić. Na imię króla, w tej tylko drodze działając, przyjdzie całe, zapewnił to jeden z najznacześniejszych i najdogodniejszych dowódców pułków polskich. Roztropność wszakże nakazuje, aby formy tej „w imieniu króla etc.“ nie używać, i bez jej użycia postanowienia Rady wykonywanemi będą. Samo powołanie wojska przywróci spokojność. Żądam więc, aby generałowi Chłopickiemu polecić wydanie rozkazów do sprowadzenia wojska, a zawsze w imieniu króla...

— A czy wojsko zechce posłuchać rozkazów, wydanych w imieniu cara Mikołaja? — spytał Kochanowski.

— Trudno przesądzać przyszłość, — odrzekł mu Lubecki: — radzę też stosować się do wskazań, które nakazuje roztropność...

Wtem drzwi z trzaskiem się otworzyły i wszedł do sali gen. Sierawski, mianowany gubernatorem Wąszawy. Umilkli wszyscy, patrząc na niego ze zdumieniem, a generał głosem wzburzonym, nie czekając na zapytanie, mówił zaczął:

— Panowie!... Lud po dwakroć tu chciał wejść, po dwakroć wstrzymywałem; chciano nawet zbrodnię popełnić; piersiami ich zasłoniłem. Wybaczę więc panowie, że wymienię tych, na których powstają. Lud powiada, że nigdy nie będzie miał w Radzie ufności, dopóki będą w niej generałowie Rautenstrauch i Kossecki. Jako Polak i odpowiedzialny za spokojność miasta, powiedziałem, co mi zlecono.

Pobladł, słysząc to, gen. Kossecki i rzekł drżącym głosem:

— Nie jestem członkiem Rady, ale sekretarzem, ale gdy Rada mnie uwolni, ustąpię...

— Proszę, — rzekł znowu gen. Sierawski: — aby dwie te osoby za parę godzin dopiero powierzone były mojej obronie, inaczej teraz ręczyć bym za nic nie mógł. Powiedziano mi nadto, że nie cofną się, dopóki im nie doniosę, żem opowiedział Radzie ich życzenia, które są życzeniami wszystkich...

A wtedy Niemcewicz cichym głosem zauważył:

— Trzeba pamiętać, aby nie nadać otuchy ludowi, że dobrze by było powiedzieć, iż ci generałowie poprzednio sami się usunęli...

— Mam się za szczęśliwego, — oświadczył na to gen. Sierawski: — żem poprzednio na tę myśl przyszedł, i przepomniałem tylko powiedzieć Radzie, iż oświadczyłem ludowi, że sam słyszałem, iż była już w Radzie mowa dawniej o tem, aby zrobić wybór między sobą dla mienia ufności. To głównie lud uspokoiło. Odpowiem więc ludowi, że ci generałowie powtórzyli teraz to, co dawniej sami z siebie chcieli uczynić. Oświadczyłem także ludowi co do księcia Lubeckiego, że sam jestem w tych czasach zaburzenia świadkiem gorliwości i obywatelstwa księcia. Odpowiedział mi lud, że Izba poselska chciała mieć księcia przy ministerstwie utrzymanym...

Znów z ust członków Rady posypały się pochwały dla księcia Lubeckiego. Fakt jednak zmiany Rady pod naciskiem zewnątrz, stawał się nieuniknionym. Na miejsce ustępujących gen. Rautenstraucha i Kosseckiego, w myśl życzeń deputacji, Rada postanowiła powołać z Senatu kasztelana Dembowskiego, z Izby poselskiej zaś Władysława Ostrowskiego, Gustawa Malachowskiego i Joachima Lelewela...

Postanowił znów skorzystać z tej sposobności Lu-

becki i nie chcąc przez objęcie przez Radę steru rewolucji, zrywać ostatecznie z carem, rzucił myśl, ażeby Rada Administracyjna podzieliła się na dwa wydziały: wydział wykonawczy i na radę administracyjną...

Wydział wykonawczy, do którego powołano nowoobranych członków Rady, oraz Lubeckiego, Czartoryskiego, Radziwiłła, Kochanowskiego i gen. Chłopcickiego, miał obradować nieustannie, a tylko w sprawach większej wagi odwoływać się do pełnego składu Rady...

VI.

Księżę Lubecki, który, jako dobry, wytrawny gracz polityczny, przygotował wszystko na szachownicy władzy, ażeby tylko zapewnić sobie jak największe na nią wpływy i wygraną, który nawet pogodził się z faktem powołania do rządu Lelewela, a nawet usnął to za korzystne dla siebie, gdyż znając dobrze miękki, łagodny, chwiejny charakter tego trybuna ludu, przeczuwał, że łatwo nad nim wpływ zdobędzie, że będzie mógł nim kierować według uznania swego, a przez pozyskanie dla celów i dążeń swoich przywódcy opozycji, z łatwością do ostatniego celu plan swój doprowadzi, nie przewidział jednego... mianowicie wystąpienia na widownię Mochnackiego, który, jakby w cudownym jasnowidzeniu, przejrzał nawskroś plany jego i z niebywałym zapalem, energją i odwagą wystąpił przeciwko niemu... A za nim szły masy ludowe, szła młodzież, nastrojona rewolucyjnie, odrzucające precz wszelkie nawet pozory kompromisu z carem...

I tegoż jeszcze dnia wieczorem, kiedy Rada Administracyjna w nowym już składzie zastanawiała się nad sprawą porozumienia z Konstantym, propozycję którego przywiózł Władysław hrabia Zamoyski, oraz

nad warunkami, jakie mu w imieniu narodu postawić miano, wyłoniła się naraz kwestja programu, po którego linii dalsza działalność Rady iść miała...

Lubecki program ten postawił niejasno, mętnie, w odpowiedzi na zapytanie Dembowskiego, czy należy pertraktować z Konstantym co do pozycji militarnej, czy też co do żądań politycznych...

— Jest rzecz, która obydwie poprzedza, — rzekł: porozumienie potrzebne w stanowisku, w którym cała rzecz stoi. Jest brat królewski, który ma wojsko polskie i rosyjskie, jest rząd w imieniu króla; żeby nie my, rządu tego by nie było; żeby nie my, byłaby już wojna między temi dwiema władzami. W. książe powiedział, że nie pozwoli ani jednego wystrzału przeciw polakom w imieniu króla działającym. W środkach, któreśmy przedsięwzięli, może usuniemy pobudki do przyszłych wymawiań. Jak wola nasza zostanie szanowana, co z przybyciem wojska nastąpi, będziemy mogli zaręczyć W. księciu, że go nie będą atakować. Dziś nie możemy tego z pewnością powiedzieć. W. książe wydał rozkazy, aby się zawsze rejterować, nigdy nie strzelać, powiedział, że nie chce karać. Ufność w postępowaniu naszym nieodzowna jest...

Na to śmiało, po męsku odpowiedział Dembowski, stawiając jasne, wyraźne żądania:

— Ja inne rzuciłem pytanie, to jest: czy stosunki militarne tylko mamy urządzać, czy też i stosunki polityczne. Obszerniej się teraz wytłumaczę. Nawet i w dzisiejszej fermentacji zdaje się, że gdyby warunki polityczne przyrzekł w. książe wyjednać, zgodziliby się wszyscy. Warunki te są: 1) żeby wojsko rosyjskie z zagranicy Królestwa nie otrzymywało rozkazów do marszu; 2) żeby w. książe obrał sobie środki bądź do wyjścia z Polski, bądź do udania się do jakiej jej części; 3) niejasności w konstytucji uprzątnąć; wyszczególnić ich nie będę, niech Izby o tem postanowią; 4)

korzyści konstytucji rozciągnąć do gubernji rosyjskich...

Program jego uzupełnił Lelewel, mówiąc:

— Nie wiem żądania w. księcia co do porozumienia, lecz potrzebaby, iżby w. książe wiedział, co to jest za poruszenie narodu; czy uczucia narodowe, czy mółoch. Teraz czas objawić w. księciu, że idzie tu o los uciśnionego narodu; nie idzie o zniszczenie narodu. Wojska nie do Warszawy potrzeba, ale nad granice. Obraza konstytucji ważnem stanowiskiem, ale ważniejszym stan bratnich gubernji. Nie wyłamujemy się z pod berła Mikołaja, ale swobody nasze z braćmi chcemy dzielić. To co się w Warszawie stało podziela ją uczucia wojska. Należy więc to w. księciu przełożyć. Jemu jedno wszystko, król niech pamięta, że powinien być ojcem dla całego narodu polskiego. Aleksander tylokrotnie obietnicę czynił. Mikołaj po koronacji powiedział, że się rozszerzeń kraju spodziewać nie można. O to więc ugadzać się należy; w imieniu króla postępować, a swego szukać. Mam nadzieję, że to nie jest bunt, ale tłumaczenie tego, co się stało...

Lecz wnet zabrał głos ks. Czartoryski, oblewając zimną wodą zapalonego opozycjonistę, redukując jakby wygórowane żądania jego.

— Idzie o to, — rzekł: czy jest podobieństwo to otrzymać, i teraz otrzymać, kiedy nie mamy ani zasobów, ani siły. Byłoby to odstręczać. Walka między nami a Rosją nader nierówna. Słaby więc winien starać się siły pokrzepiać i nie puszczać się nieroztropnie na bitwę, w której ulec może i musi...

Słowa księcia poparli wnet inni członkowie Rady i tak przytłoczyli Lelewela rzucanemi argumentami, że pod ich nawałnicą upadł na duchu, zwinął chorągiew powstania i cofnął się na całej linii... Gdy raz jeszcze głos zabrał, przestał już mówić o „bratnich gubernjach“ i o wysyłaniu wojska nad granice.

— Moglibyśmy, — rzekł ograniczyć działania tylko na obręb kraju, jeżeli w. książę zaręczy za amnestję, że nie będzie szpiegostwa, że dawne szpiegi nie pokażą się już w kraju, że cenzury nie będzie i inne t. p.

A wtedy Gustaw Małachowski z naciskiem sformułował te żądania:

— Czyli inaczej zachowanie konstytucji...

Na to już Lelewel nie znalazł odpowiedzi.

A w trakcie tych narad wszedł do sali radca stanu Łęski i oświadczył, że przybył jakiś uczeń uniwersytetu, który powiada, że wysłany jest, aby był przytomny posiedzeniom Rady.

Lelewel wyszedł, aby tę sprawę wyjaśnić, a gdy po chwili powrócił, oświadczył:

— Pułkownik jakiś powiedział akademikom, aby sobie zrobili naradę na ratuszu. O to więc szło...

A właśnie w tym czasie, gdy Lelewel pod naciskiem członków Rady ograniczał swoje żądania i redukował program rewolucji, na wyznaczonym przez Mochnackiego punkcie zbornym w ratuszu, wieczorem gromadzili się przyjaciele jego i zwolennicy. Stawili się: Bronikowski, Nabelak, Majsner, Dunin, Żukowski, Józef Kozłowski, Franciszek Grzymała, przybyła garść wojskowych i mnóstwo cywilnych.

Na widok licznie przybyłych i domagających się udzielenia sali ratuszowej na obrady, wystąpił z energicznym protestem prezydent Węgrzecki, wspierany przez wice prezydenta Łubieńskiego, lecz na wszystkie ich argumenty i wywody, odrzekł Mochnacki wyniosłe:

— Postępowanie Rady Administracyjnej, która nie przestaje działać w imieniu Mikołaja, która się waha na obie strony, wkłada na prawdziwych patriotów obowiązek porozumienia się między sobą końcem

odwrócenia niebezpieczeństw, grożących upadkiem sprawie narodu...

Próżno Węgrzecki powoływał się na swoje siwe włosy i krzyczał, że w Radzie prawi zasiadają mężowie. Próżno protestował przeciw nielegalnym obradom w miejscu jego urzędowania. Na wszystko Mochnacki udzielał mu hardych odpowiedzi, a młodzież tymczasem szturmem zdobyła salę i zapełniła ją szczerlnie, tak, że wielu, nie mogąc znaleźć w niej miejsca, stało na korytarzach i schodach.

Huczało w sali, jak w ulu, krzyżowały się okrzyki i zdania, ucichło jednak wszystko, gdy na wzniesieniu ukazał się Mochnacki w otoczeniu paru przyjaciół i zaczął przemawiać.

W gorących, płomiennych słowach przedstawiał sytuację, w kraju, pogwałcenie wolności i ucisk, które wreszcie garść gorących patriotów zmusiły do porwania za broń, ażeby wreszcie zrzucić nienawistne jarzmo... Następnie przeszedł do oskarżeń Rady Administracyjnej, która nieprawnie władzę ująwszy i rządem narodowym się ogłosiwszy, zdradzić chce sprawę rewolucji, porozumiewając się z Konstantym i Mikołajem, by naród pod dawne jarzmo poprowadzić... Wzywał do obalenia uzurpatorów, jak nazywał Radę Administracyjną, a jako środek ku temu wskazywał utworzenie klubu rewolucyjnego...

A gdy skończył swą przemowę, wybuchły grzmiące oklaski i okrzyki...

Z zapalem popierali projekt jego następni mówcy i jednomyślnie postanowiono utworzyć zbrojny klub rewolucyjny, pod nazwą Towarzystwo Patriotyczne.

W spokoju też przystąpiono do obioru prezydium tegoż, przyczem oklaskami przyjęto wniosek Mochnackiego, ażeby na prezesa powołać Lelewela...

Miał on w tem swój cel ukryty, gdyż w ten sposób

chciał wyrwać Radzie męża, na którego zwróconą była uwaga całej opinii...

Dalsze wybory również odbyły się bez sprzeciwów i na wiceprezesa powołano Bronikowskiego, na zastępcę jego Mochneckiego, na sekretarza Franciszka Grzymałę...

A gdy skończono wybory, Mochnecki znów zabrał głos i rzekł:

— Panowie!... Czeka nas wyteżona i gorączkowa praca... Dla dobra Ojczyzny nie wolno nam zmarnować ani jednej minuty... Zbierzemy się jutro wieczorem w salach reductowych obok teatru, a teraz podążmy wszyscy, ażeby zawiadomić lud i wojsko o założeniu klubu, ażeby go uczynić najpopularniejszym i w ten sposób zjednać dla naszych zamierzeń poparcie mas... Na nich oprzemy swą działalność, gdyż dla ich dobra walczyć będziemy, i przy ich pomocy zwyciężymy!...

Odpowiedziały mu znów grzmiące oklaski i okrzyki „zwyciężymy!“, które uroczystym tonem swoim brzmiały, jak przysięga, i wszyscy rozeszli się podnieceni...

Mochnecki, wracając z ratusza z Bronikowskim i Nabelakiem umyślnie poszedł przez Plac Bankowy, a widząc oświetlone jasno okna sali, w której Rada obradowała, pogroził w ich stronę pięścią, mówiąc:

— Zmierzymy się teraz, panie Lubecki... Zobaczymy, kto zwycięży i kto Ojczyznę wyratuje!...

A w sali obrad Rady w dalszym ciągu radzono nad prowadzeniem pertraktacji z Konstantym i nad zaprowadzeniem porządku w kraju...

VII.

Następnego dnia koło południa przez Warszawę przebiegła wieść, która wstrząsnęła wszystkimi mieszkańcami stolicy...

Rada Administracyjna postanowiła wszcząć układy z Konstantym...

Układy!...

W złowrogiem tem słowie, dla nieprzywykłych do wykrętów dyplomatycznych uszów tłumu, dźwięczało jedno: zaprzepaszczenie krwawego wysiłku dni minionych, rzucenie na marne ofiary z życia tych, którzy w walce o wolność padli, zgaszenie znów na czas długi z takim trudem roznieconego płomienia wolności!...

Układy!...

A więc powrót do dawnych czasów, o których każdy ze wstętem i zgrozą myślał; powrót do ucisku bezgranicznego, do samowoli moskiewskich władców, a co najważniejsze — wydanie na pomstę Konstantego i Mikołaja tych wszystkich, którzy z ofiarnem poświęceniem za broń porwali...

Wieść o decyzji Rady Administracyjnej, przeniknawszy jakimś cudem mury sali obrad, rozbiegła się wnet po jej powzięciu po całym mieście, podniecając rewolucyjnie nastrojone masy, dając obfity materiał do agitacji członkom Towarzystwa Patrjotycznego...

Wnet też ze wszystkich stron miasta pociągnęły na plac Bankowy tłumy ludzi, hałasując i wykrzykując pod adresem Rady różne pogroźki, domagając się poprowadzenia na Konstantego i armję moskiewską, wzywając członków Rady do ustąpienia...

Coraz występował jakiś przygodny mówca, w gorących, pełnych patrjotyzmu słowach wzywający tłum do wytrwania w rewolucji, do dalszej walki o wolność, do nie dawania posłuchu tym, którzyby rewolucję na drogę ugody wprowadzić chcieli.

Odpowiadano im okrzykami i oklaskami, a biada temu, kto by ośmielił się poprzeć choć słówkiem działalność Rady... Zginałby momentalnie, rozszarpany przez podniecony, rozgorączkowany tłum...

Niewiadomo jaką drogą przedostała się do tłumu wieść o tem, że jeden ks. Radziwiłł przeciwny był wysłania deputacji dla układów, powtarzano z ust do ust słowa jego:

— Naprzód, czy posłać deputację do tego, który się nas zrzekł; jabym był za tem, żeby nie posyłać. Niech oni przysła Rosjanina, nie Polaka... Nie traćmy ufności, którą mamy...

I wnet rozległy się głośnie wiwaty na cześć ks. Radziwiłła...

Słuchali tych okrzyków członkowie Rady, słuchali delegaci, w osobach ks. ks. Lubeckiego i Czartoryskiego, Lelewela i Ostrowskiego.

Wyjazd delegacji w tych warunkach był niebezpieczny, lecz adjutant Konstantego, hr. Władysław Zamoyski, nalegał, twierdząc, że w. księżę czeka... Lubecki również nalegał na wyjazd, mówiąc, że nie wolno Radzie ustąpić przed krzyczącym motłochem, że winna w pierwszym rzędzie myśleć o ratowaniu kraju; zdanie jego popierali Lelewel i Czartoryski, którzy wielką ufność w swej popularności pokładali...

Zdecydowano zatem jechać... Zaledwie jednak karetą, wioząca delegatów, a poprzedzana przez Władysława hr. Zamoyskiego, towarzyszącego jej konno, wyjechała z bramy Banku Polskiego, tłum skłębił się, żywym murem zagrządzając jej drogę od strony ulicy Żabiej...

Zatrzymała się karetą i tysiące głosów protestować zaczęło przeciwko rozpoczęciu układów. Stojący najbliżej, zaklinając na imię Ojczyzny, prosili, ażeby delegaci zawrócili z drogi, a tym prośbom towarzyszył głuchy, groźny, do grzmotów podobny pomruk tych, którzy stali dalej... Sywały się stamtąd protesty i pogroźki, z łatwością w czyn zamienić się mogące...

Sytuacja stawała się coraz groźniejszą; podnie-

cenie tłumów wprost zaczęło zagrażać życiu delegatów...

Wtedy na stopniach karety stanął Lelewel... Widok jego wnet uspokoił wzburzenie, rozległy się okrzyki na jego cześć, a gdy dał znak, że chce przemawiać, wnet cisza zapanowała wśród tłumu...

Boć przecież jemu jednemu wierzone, jemu ufano bezgranicznie, boć wiedziano, że on sprawy wolności narodu nie zaprzepaści; on jeden zresztą dawał rękojmię, że delegacja nie zdradzi rewolucji...

Lelewel rzekł krótko:

— Obywatele! — przepuście nas... Jedziemy do w. księcia, ażeby nie dopuścić do dalszego krwi rozlewu, ażeby utrwalić i ugruntować to, co wysiłkiem naszym i wojska zdobyte zostało...

Po przemowie jego rozległy się znów okrzyki, tłum zakolysał się, dały się słyszeć wołania:

— Rozstąpić się!... Przepuścić karetę!...

W tłumie utworzył się wyłom, którym karetą wolno naprzód posuwać się zaczęła, a przez wszystkie ulice, aż do Placu Trzech Krzyży, towarzyszyły jej niespokojne, podniecone tłumy, lecz już nie pogroźki sywały się z ust jego, a przestrogi, wskazówki i rady, jak z Konstantym mówić należy...

Naiwne one były, proste, czasem dziwaczne, lecz za to przepojone serdeczną troską o los kraju i patriotyzmem...

Ciemno już było, gdy karetą zajechała do Wierzbna. Po obu stronach drogi płonęły ogniska, przy których grzały się zziębnięte, wygłodzone wojska rosyjskie...

Karetą zatrzymała się przed ubogą karczmą w Wierzbnie i delegaci, przedostawszy się przez tłum wojskowych, zalegających dziedziniec, weszli do ciasnej, skromnej izdebki o jednym oknie, stanowiącej

siedzibę tego, który przed trzema dniami jeszcze był wszechwładnym panem całego Królestwa, a teraz w nędznej karczmie z trwogą w sercu czekał na to, czego zażąda od niego stolica...

Na delegatów oczekiwał już, uprzedzony przez Zamoykiego, Konstanty, przy którym stała małżonka, ks. Łowicka.

Po pełnem godności przywitaniu, rozmowę rozpoczął ks. Lubecki, który wyjaśnił Konstantemu naturę zaszyłych wydarzeń i wskazywał ich przyczyny w gwałceniu prawa i konstytucji. Usprawiedliwiał zarazem postępowanie Rady Administracyjnej brakiem wszelkiej rozporządzalnej siły, nieobecnością wojska, któreby mogło zabezpieczyć rząd przed gniewem wzburzonego tłumu...

W milczeniu słuchał Konstanty tych wywodów, w odpowiedzi jeden tylko zarzut uczynił Radzie Administracyjnej, że oddając dowództwo wojsk gen. Chłopickiemu ubliżyła tem jemu, w księciu, jako naczelnemu wodzowi...

Zabrał wtedy głos Ostrowski i oświadczył, że jeżeli lekceważenie konstytucji stało się powodem rewolucji, to celem jej jest nie tylko obrona praw konstytucyjnych, ale i przyłączenie gubernji polskich do Królestwa...

Wtedy, obecna przy rozmowie ks. Łowicka, w milczeniu wysłuchująca wszystkich argumentów, zerwała się niespodziewanie z miejsca, a podszedłszy do księcia Lubeckiego, zaczęła mówić gwałtownie:

— Mości książę, to pan, jako minister, nie spełnił swojego obowiązku, skoro pozwoliłeś na zmiany w Radzie Administracyjnej, którą w składzie przez króla ustanowionym, winien byłeś utrzymać...

Skłonił się jej Lubecki, i nie tracąc przytomności, odrzekł:

— Miłościwa księżno, właśnie tym tylko sposobem mogłem władzę królewską ocalić...

Nie przekonało to jednak ks. Łowickiej. Rozgrzana własnymi słowy, w chwili tej daleko więcej od męża stanowcza, z największą żywością wyrzucała dalej ks. Lubeckiemu, że na niepewnych polega osobach i mówiąc o sprawach rewolucji, na Lelewela słowem i gestem wskazywała...

Następnie zaś zwróciła się już wprost do Lelewela i Ostrowskiego, i schwywszy ich za ręce, z uniesieniem najwyższem prosiła, aby ojczyzny nie narażali na zgubę i uśmierzyli rosnące w Warszawie wzburzenie. Uważała, że od nich tylko to zależy, i próżnem byłoby tłumaczyć jej tę omyłkę.

Niewiadomo jak długo trwałaby ta scena dramatyczna, gdyby Lubecki, przerywając potok jej wymowy, nie był przyznał, że istotnie Leleweł i Ostrowski cieszą się popularnością, że ich obecność w rządzie sam rząd zabezpiecza, ale wstrzymać rewolucji ani oni, ani już nikt nie zdoła...

Rozmowa stawała się coraz żywszą i gorętszą. Delegaci czynili gwałtowne zarzuty postępowaniu i rządowi Konstantego, a despotyczny książę słuchał wszystkiego spokojnie...

Lecz gdy Ostrowski powiedział, że gwałt tylko gwałtem można było odeprzeć, zachnął się Konstanty, wnet jednak uciszył go Leleweł uwagą:

— Wszakżeż i Polskę gwałty rozdziartowały...

W. książę nie był mocarzem w dyskusji. Djalektyką jego była pięść, argumentem rozkaz. Teraz jednak, nie mogąc się do tego uciec, musiał się hamować i liczyć się z tymi, za którymi czuł powstającą Polskę...

Ażeby więc przerwać tę rozmowę i zakończyć tę nierówną walkę, spytał wręcz:

— Cóż zatem, zdaniem panów, mogłoby uspokoić stolicę?...

A na to odrzekł mu Ostrowski:

— Naszem zdaniem, najskuteczniejszym ku temu środkiem byłoby ustąpienie wojsk rosyjskich z Królestwa...

Namyślał się przez chwilę Konstanty, wreszcie rzekł:

— Przystaję na to, lecz powiedzcie mi, panowie, co mam uczynić ze swoją osobą?

Pytanie było ważne, a trudne bardzo do rozstrzygnięcia...

Z postawienia tego pytania przez Konstantego wyraźnym było, że on sam pozbawiony jest własnej woli i własnego widzenia rzeczy, że gotów jest zdać się na łaskę i niełaskę powstania...

Pierwszy w tej sytuacji zorientował się Lubecki. Błyskawicą przebiegła mu przez głowę myśl, że Konstanty, pozbawiony wojska rosyjskiego, a więc wszelkiej siły i oparcia, będzie pozbawiony wszelkiego wpływu na powstanie; że w tych warunkach będzie się godzić na wszelkie propozycje i uczyni wszystko, co od niego zażądata. Obecność w Warszawie takiego zakładnika, jak Konstanty, w razie układów z Petersburgiem, stanowiła bardzo ważny atut, którego wyrzekać się nienależało...

Podczas układów, czy podczas wojny, obecność Konstantego, który dobrowolnie zrzekł się tronu rosyjskiego na rzecz młodszego brata, obecność Konstantego, jako zakładnika, sprzymierzeńca, czy nawet wroga rewolucji, niewątpliwie przynosiła korzyści...

Więc w odpowiedzi na zapytanie Konstantego, Lubecki zażądał, aby w. książę oddał Warszawie wojsko polskie, dotąd przy nim zostające, a następnie oddał

i samego siebie, stanowczo radząc mu powrócić do stolicy...

Zwrócił się potem Konstanty do ks. Czartoryskiego w tej samej sprawie, a gdy ten zaczął wypowiadać jakieś uwagi, przerwał mu Konstanty, mówiąc:

— Mości książę, proszę o kategoryczną odpowiedź: tak czy nie...

Wtedy Czartoryski odrzekł:

— Tak... sędzę, że najlepiej będzie, gdy w. książęca mość zostanie w stolicy...

Zapytany następnie Ostrowski, odpowiedział stanowczo, że jest przeciwny pozostaniu w. księcia w Warszawie...

Pozostawał Lelewel. Ten, nie obdarzony zmysłem dyplomatycznym Lubeckiego, przy tem głęboko przekonany, że powrót do stolicy znenawidzonego Konstantego najgorsze uczyni wrażenie i najfatalniejsze wywoła następstwa, poparł zdanie Ostrowskiego.

Nastąpiła chwila oczekiwania na decyzję Konstantego. Patrzeli na niego wszyscy, a przedewszystkiem ks. Łowicka, która podzielała zdanie Lubeckiego, że nie powinien opuszczać Warszawy. Lecz Konstanty bez wahania, stanowczo, oświadczył, że widząc równość zdań, przechyla się do zdania panów Ostrowskiego i Lelewela...

Ks. Łowicka, która żywy brała udział w tej rozmowie, posłyszawszy odpowiedź Lelewela, zwróciła się do niego z oburzeniem, mówiąc:

— I pan też przeciwko niemu!...

A wtedy Lelewel odrzekł:

— Miłościwa pani, wszakżeż księżna przed chwilą sama oświadczyła, że wódz naczelny nie może się od wojska odłączać. A zresztą należy wziąć pod uwagę jeszcze wzgląd inny, — mianowicie niepokój, jaki wojsko rosyjskie budzi w stolicy. Toć przecież

wojsko to traktowane jest przez zbuntowaną Warszawę, jako armja nieprzyjacielska, wobec czego w każdej chwili spodziewać się może ataku...

Rozmowa zbliżała się ku końcowi. Na skutek żądania delegacji, Konstanty pozwolił na spisanie tych układów w dwóch egzemplarzach, przyczem sam treść tychże dyktował po francusku.

Brzmiały one jak następuje:

„Deputacja z Rady Administracyjnej do J. C. M. wysłana, po otrzymaniu posłuchania, miała sobie łaskawie zapewnione następujące zaręczenia:

1) J. C. M. w książę oświadczył, iż nigdy nie miał na myśli atakowania Warszawy; że to dostatecznie skutki okazują, że wojsko pod jego rozkazami pozostałe, nie rozpoczęło kroków nieprzyjacielskich innych, jak tylko odporne. Gdyby atak jaki miał nastąpić, J. C. M. obiecuje ostrzec o tem Radę 48-miu godzinami wprzód.

2) J. C. M. obiecuje wstawić się do N. Pana, aby w łaskawości swojej raczył przeszłość puścić w niepamięć.

3) J. C. M. w książę oznajmił, iż dotąd korpusowi litewskiemu nie dał żadnego rozkazu maszerowania ku Królestwu Polskiemu.

4) Deputacja z Rady, zaręczyła wszelkich dołożyć usiłowań, ażeby ujętych i przytrzymanych Rosjan, wszystkich w całości do linii wojsk J. C. M. w bliskich godzinach odstawić, a nawzajem i zaraz potem wszystkich aresztowanych tak wojskowych, jak i cywilnych polskich, na wolność nietkniętych wypuścić raczy J. C. M. w książę“.

A pod samym spodem, na usilne nalegania Leleweła, dopisano, że sprawa gubernji polskich była w rozmowie poruszoną, gdyż zależało mu wielce na zaznaczeniu, że tak ważna sprawa pominiętą nie była.

Dopisek ów brzmiał:

„Nakoniec deputacja powtórzyła J. C. M. w księciu, iż ma za obowiązek upewnić, że jest najgorętszem i nieuniknionem życzeniem narodu, ażeby wszystkie części dawnej Polski teraz pod rządem rosyjskim zostające, z Królestwem Polskiem połączone, wspólnych z niem swobód konstytucyjnych używały“.

Po rłader zimnem pożegnaniu wyruszyli delegaci z powrotem do Warszawy, nie wiedząc nic zgoła o wypadkach, jakie w stolicy w czasie ich nieobecności zaszły...

Koniec tomu II-ego.